

**Rebecca Winters**

**GWIAZDKA MIŁOŚCI**

**Pierwsza gwiazdka Sary**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Dobranoc, Brooke. I wielkie dzięki za świąteczną premię. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Wesołych świąt!

- Dobranoc, Dave. Cała przyjemność po mojej stronie. Wesołych świąt! Złóż, ode mnie życzenia wszystkim w domu. Do zobaczenia w poniedziałek.

Zanim Brooke Longley zdążyła zamknąć drzwi za swoim ulubionym pracownikiem, do sklepu wpadł tuman śniegu. W ciągu jednego tygodnia nad West Yellowstone - małym miasteczkiem w stanie Montana - dwa razy szalała burza śnieżna. Teraz zanosilo się na trzecią.

Mimo że stary szafkowy zegar wskazywał dopiero pięć minut po siódmej, wydawało się, że dochodzi północ. Była wigilia Bożego Narodzenia. W wigilijny wieczór nikt nie przychodzi kupować sportowych ubrań. Brooke zdecydowała się zamknąć sklep wcześniej niż zwykle.

Za kilka godzin w pobliskim pubie jej znajomi wydawali bożonarodzeniowe przyjęcie. Brooke uległa namowom swojej przyjaciółki Julii Morton i - trochę wbrew sobie - obiecała pojawić się w pubie.

Była to świetna okazja do spotkania z Julią, która mieszkała ze swoim mężem, Kyle'em na, drugim końcu miasteczka.

- Brooke! - Julia upomniała ją stanowczo. - Rozu-

miem, że nie chcesz mieć do czynienia z mężczyznami, ale zerwane zaręczyny wcale nie upoważniają cię do zrywania kontaktów z innymi ludźmi. Musisz przyjść, bo inaczej wszyscy pomyślą, że całkiem zdziwaczałaś.

Wobec takiego postawienia sprawy, Brooke nie miała wyjścia. Postanowiła pojawić się na przyjęciu, a po godzinie wrócić do domu. Była pewna, że jej wysłużony, ale niezastąpiony dżip wytrzyma każdą pogodę. Zerknęła na termometr. Minus dwa stopnie. Do rana temperatura spadnie do minus dziesięciu, pomyślała, gasząc światło i zamykając drzwi sklepu. W zeszłym roku było podobnie.

Dzięki Bogu, że to nie jest zeszły rok!

Dzięki Bogu, że nie czeka już na Marka, jak wtedy.

Rok temu Brooke i Mark zamierzali się pobrać. Wyznaczyli już datę ślubu - dwa dni po Bożym Narodzeniu. W samą Wigilię zadzwonił telefon. Okazało się, że jej narzeczony nie przyjedzie na święta. A właściwie, że wcale już nie przyjedzie. Oznajmił, iż spotkał inną. Miał nadzieję, że Brooke go zrozumie. W końcu lepiej zerwać zaręczyny, niż się rozwodzić, prawda?

Miesiąc później jej ojciec umarł niespodziewanie na zawał serca i Brooke została zupełnie sama. Był to chyba najgorszy czas w jej życiu. Z trudem wyobrażała sobie dalszą egzystencję w opuszczonym domu.

Ale życie toczyło się dalej. Brooke musiała przejąć rodzinny interes. Pracowała ciężko, ale dzięki temu sklep prosperował coraz lepiej. Dzisiaj ze zdumieniem zauważyła, że od tamtych koszmarnych dni dzieli ją całe dwanaście miesięcy, podczas których wiele się zmieniło: skończyła dwadzieścia sześć lat i zawarła nową przyjaźń

- właśnie z Julią, która przeprowadziła się do West Yellowstone z Great Falls. Znajomość była tym cenniejsza, że wszystkie koleżanki Brooke po skończeniu szkoły wyjechały do większych miast lub wręcz do innych stanów.

i Brooke przebijała się przez zaspę w kierunku pubu i błogosławiła botki z foczej skóry, które chroniły ją przed zimnem. Zamięć przybierała na sile. Jeszcze chwila, a żaden samochód nie przedrze się przez zwały śniegu! Rozejrzała się dokoła. Wydawało się, że świat pokryty białym puchem zamarł w bezruchu. Było pięknie - pod warunkiem, że miało się dokąd pójść.

Nagle usłyszała dźwięk, który do złudzenia przypominał płacz dziecka. Przystanęła i spojrzała w stronę, z której dobiegał. Niemożliwe! - uznała. To musiał być wiatr. Ruszyła przed siebie wąską ścieżką wydeptaną, w śniegu. Byle szybciej schronić się w ciepłym wnętrzu!

Ale kiedy przeszła na drugą stronę ulicy, cichutkie zawodzenie rozległo się znowu. Brooke stanęła bez ruchu, nasłuchując. Tym razem nie miała wątpliwości. To był płacz dziecka - śmiertelnie przerażonego dziecka. Tylko skąd wzięło się tutaj dziecko? Uznała, że płacz dochodzi z bocznej uliczki, i ruszyła w tamtą stronę. Uszła zaledwie kilka kroków, kiedy zauważyła małą osóbkę walącą pięściami w okno sklepu z indiańską biżuterią Harmona Clarka. Sklep był zamknięty - Harmon, podobnie jak Brooke, dzisiaj wcześniej skończył pracę i na pewno był już na swoim ranczu albo na przyjęciu w pubie.

Brooke podeszła bliżej. Osóbka okazała się dziew-

czynką liczącą nie więcej niż pięć lat. Łkając, powtarzała jakieś imię, ale nie można było jej zrozumieć. Brooke z przerażeniem zobaczyła, że mała ma gołe nogi i tenisówki. Była jaka sukieneczka i cienka jak papier wiatrówka na pewno nie chroniły jej przed zimnem. Jeszcze chwila, a zamarzłaby tutaj na śmierć! Brooke natychmiast uklękła przy dziewczynce i wzięła ją w ramiona.

- Mam na imię Brooke - powiedziała uspokajającym tonem. - Chcę ci pomóc. Kogo szukasz, maleńka?

Dziewczynka wyrwała się i dalej waliła rączkami w szybę. Wydawało się, że mówi o jakimś Charliem.

- Kochanie, tam w środku nikogo nie ma. Chodź ze mną. Pomogę ci znaleźć Charliego.

- Nieee! - rozległ się rozziewający krzyk. - Nie pozwól Charliemu mnie zabrać.

Brooke nie miała wątpliwości - mała panicznie bała się mężczyzny o imieniu Charlie. Nie wahając się ani chwili, wzięła dziewczynkę na rękę i biegiem ruszyła w stronę swojego sklepu. Była szybciej dotrzeć do ciepłego miejsca! I do telefonu. Kilka razy omal nie upadła, ale nie wypuściła z objęć drżącego ciała.

- Wszystko będzie dobrze - szeptała przez całą drogę. - Nie martw się.

Równocześnie wymyślała dziesiątki scenariuszy wyjaśniających sytuację, w której znalazło się to bezbronne, zastraszone stworzenie, ale były one tak nedorzeczne, że odrzucała je jeden po drugim. Wiedziała jedno - gdyby rzeczony Charlie stanął teraz na jej drodze, zrobiłaby mu krzywdę.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała, wkładając klucz do zamka.

Otoczyła je fala błogiego ciepła. Brooke zapaliła światło, jednym kopnięciem zamknęła drzwi i przebiegła przez sklep prosto do kuchni, która znajdowała się na zapleczu. Ustawiała krzesło tuż przy otworze wentylacyjnym połączonym z piecem i posadziła na nim dziecko. Potem uklękła, żeby zdjąć z małej przemoczoną kurtkę i tenisówki - znoszone i sztywne od mrozu, i otuliła dziewczynkę termicznym kocem zdjętym ze sklepowej półki.

Histeryczny płacz ustał. Wątlym ciałem dziewczynki wstrząsał cichy szloch. Śnieg topił się na jej włosach i wraz ze łzami spływał po twarzy.

- Jak się nazywasz? - zapytała Brooke łagodnie, rozcierając jej lodowate stopy.

- Sa... Sara.

- A dalej?

- Nie wiem. - Mała wytarła oczy wierzchem dłoni. Brooke zdała sobie sprawę, co to znaczy. Zaciśnęła zęby z wściekłości. Zabiłaby tamtego człowieka gołymi rękami. Ale za nic nie mogła teraz okazywać emocji.

- Zrobię ci kakao, dobrze? Lubisz kakao? - zapytała szlochającą Sarę.

Nie zrozumiała odpowiedzi. Nieważne! Sara musi wypić coś ciepłego, a w kuchni jest w tej chwili tylko kakao.

- Chyba ci smakowało. - Uśmiechnęła się z trudem, kiedy dziewczynka łapczywie wypila cały kubek. Widać było, że jest nie tylko spragniona, ale bardzo głodna.

Sara tylko skinęła głową.

- Gdzie jest twoja mamusia?

- Cha... Charlie mówi, że nie mam ma... mamusi.

- Kto to jest Charlie?

- Charlie był ba... bardzo zły, bo samochód nie chciał jechać. - Brooke rozpoznała lekki południowy akcent. Sara była więc bardzo daleko od domu. - Wszedł, a ja otworzyłam sobie drzwiczki i uciekłam. - Dziewczynce drżały usta. - Ale było mi zimno. I padał śnieg. I nic nie widziałam, i... - Zaczęła znowu płakać.

Brooke poczuła ucisk w gardle. Co mogłaby zrobić, żeby ulżyć cierpieniom tego dziecka?

- Wszystko będzie dobrze. - Objęła dziewczynkę i zaczęła ją kołysać. - Zajmę się tobą i wszystko będzie dobrze.

- Czy Charlie mnie nie znajdzie? Bo jeśli mnie znajdzie, będzie się złościć i uderzy mnie. Nie pozwól mu. Nie daj mu mnie znaleźć - błagała Sara.

Brooke wiedziała, że mała nie przesadza. Zrobię wszystko, żeby ten człowiek nigdy nie znalazł się w pobliżu ciebie - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Uwierz mi.

Sara przytuliła się do niej i objęła ją mocno za szyję. - Miło tu, prawda? - Brooke z całych sił starała się zmienić temat. - Mam trochę herbatników. Chcesz spróbować?

Położyła pudełko na kolanach Sary i wstała.

- Jedz, ile chcesz. Zaraz wrócę. Pójdę tylko do drugiego pokoju, żeby zatelefonować.

- Nie zostawiaj mnie! - rozległ się przerażony pisk. Brooke miała ochotę zwymyślać samą siebie. Jak mogła być tak bezmyślna? Wzięła dziewczynkę na ręce

razem z kocem i herbatnikami, a potem przeniosła ją do sklepu. Następnie zadzwoniła na policję.

- Julio, to ty? - zawoła z niedowierzaniem, słysząc w słuchawce głos przyjaciółki. - Masz dzisiaj służbę? Przecież miałyśmy się spotkać na przyjęciu.

- Ruth prosiła, żeby zastąpić ją do dziewiątej. Miałam zamiar właśnie do ciebie dzwonić i uprzedzić, że przyjdziemy z Kyle'em trochę później.

- Obawiam się, że mnie nie będzie. Zaszły nieprzewidziane wypadki.

- Co się stało? - Julia w jednej chwili zmieniła ton głosu na oficjalny.

Po wysłuchaniu całej opowieści zdecydowała, że Brooke powinna wziąć dziewczynkę do domu.

Jutro przyśle tam policjanta, który postara się zebrać jak najwięcej informacji. Teraz wszyscy byli zajęci - kilka dróg dojazdowych zasypał śnieg, wypadki na innych spowodowały gigantyczne korki.

Żaden policjant nie mógł zająć się sprawą zagubionej dziewczynki. Julia - sprawna jak zwykle -

uznała, że dla dobra dziecka w tej sytuacji należy nagiąć prawo. Dom - prawdziwy dom - pomoże dziecku dojść do siebie. Obiecała natychmiast przekazać informację policji stanowej.

- Kimkolwiek jest ten Charlie - wycodziła Brooke do słuchawki - to mam ochotę go zabić za wszystko, co zrobił temu dziecku.

- Zapłaci za to - dodała Julia z pasją. - Biedne maleństwo. Miała szczęście, że przechodziłaś obok.

Będę z tobą w kontakcie. Przyjdziemy z Kyle'em, jak tylko skończę pracę.



14

- To świetnie. Czekam. - Brooke odłożyła słuchawkę i przytuliła Sarę. - Czy chciałabyś pojechać do mojego domu? To niedaleko stąd. Zjemy razem kolację, a potem zostaniesz u mnie na noc. Co ty na to?

Sara tylko pokiwała głową.

- A teraz musimy znaleźć ci jakieś ubranie. Wybierz sobie, co chcesz.

Dziewczynka długo nie mogła zrozumieć, co ma zrobić. Chyba nigdy jeszcze nie była w sklepie z ubraniami. W końcu, nie wypuszczając z ręki dłoni Brooke, podeszła do wieszaków i wybrała sobie bluzkę w czerwoną kratę, džinsy, rajstopy i kowbojskie buty. Brooke dorzuciła do tego kurtkę z kapturem i narciarskie rękawice, a potem zapakowała całą torbę innych rzeczy.

- Jesteś gotowa? - zapytała, widząc, że Sara już się przebrała. - Możemy iść. Mój samochód stoi obok, ale myślę, że powinniśmy wziąć ze sobą ten koc, bo w środku będzie bardzo zimno.

Podeszła do drzwi, a wczepiona w nią Sara dreptała obok jak cień.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Rodzinny dom Longleyów znajdował się na przedmieściach West Yellowstone. Niewielki, lecz przytulny, stał z dala od ulicy, w cieniu wysokich drzew. Oprócz zwykłego centralnego ogrzewania był w nim kamienny kominek, w którym podczas większych mrozów zawsze palił się ogień.

Mimo że zamieć była coraz silniejsza, Brooke dotarła do domu bez kłopotów. Już w drodze poczuła radość na myśl, że w taką wyjątkową noc nie będzie sama. Dobrze jest czuć się potrzebnym - szczególnie w wigilię Bożego Narodzenia. Mała Sara mogłaby nie przeżyć bez jej pomocy.

- Czy wiesz, że dzisiaj jest Wigilia? - spytała dziewczynkę, prowadząc ją zasypaną śniegiem ścieżką.

- Co to jest Wigilia?

Brooke poczuła, że serce ściska się jej z żalu.

- Poczekaj chwilę, a sama zobaczysz.

Pomogła małej wdrapać się na schody i przekręciła klucz w zamku. W holu szybko zapaliła światło.

Naciśnięcie kontaktu automatycznie włączało lampki na choince.

- Ooo! - westchnęła Sara z zachwytem, stając jak

wryta na widok srebrzystego świerka obwieszzonego ozdobami.

- Chodź. Obejrzymy choinkę z bliska. - Brooke zaprowadziła onieśmieloną Sarę do drzewka. - Spójrz na tę bombkę.

- Tam w środku jest dzidzius!

- To mały Jezus. Jutro są jego urodziny. Boże Narodzenie. Dzień, w którym narodził się Bóg. Bardzo szczególny dzień. Z tej okazji ludzie składają sobie życzenia i dają sobie prezenty. Wieczorem, kiedy będziesz już leżała wygodnie w łóżeczku, opowiem ci o Jezusie. Jak żył i jak umarł, i jak kocha wszystkich ludzi, którym błogosławi, kiedy są w potrzebie.

- Co to jest „błogosławi”?

- Jezus nam błogosławi, czyli czyni szczęśliwymi, kiedy wszystko zawodzi.

Na szczęście mała zadowolona się jej wyjaśnieniem. Brooke westchnęła z ulgą i szybko włączyła płytę z kolędami. Cały dom napełnił się muzyką. Sara z zachwytem przyglądała się choince.

- Czy możemy spać blisko dzidziusia Jezusa? - zapytała, szeroko otwierając oczy.

Brooke poczuła łzy w oczach.

- Skoro chcesz... Ale najpierw rozpalę w kominku. Potem pójdziemy do kuchni i zrobimy sobie wspaniałą kolację. Przygotowałam mnóstwo pysznego jedzenia. Ciekawe, czy będzie ci smakowała moja ulubiona zapiekanka z ziemniaków.

- Co to jest „piekanka”? - i Sara podskoczyła radośnie jak każde szczęśliwe dziecko.

Brooke znowu poczuła ucisk w sercu.

- Specjalne puree z ziemniaków, do którego... To trudno wyjaśnić. Trzeba samemu spróbować. Podgrzanie jedzenia nie zajęło Brooke wiele czasu. Wkrótce zasiadły do stołu, który Sara dzielnie pomogła jej nakrywać.

Nakładały sobie właśnie drugą porcję zapiekanki i klopsa, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Dziewczynka zadrżała tak gwałtownie, aż widelec wypadł jej z ręki.

- To Charlie! - Zeskoczyła z krzesła, podbiegła do Brooke i przylgnęła do niej cała drżąca. - Nie pozwól, żeby mnie zabrał. Nie pozwól!

- To na pewno moja przyjaciółka, Julia. Obiecała, że przyjedzie do mnie ze swoim mężem - uspokajała ją Brooke niezbyt pewnym głosem.

Ale Julia nie mogła wyjść z pracy tak wcześnie. Wszyscy sąsiedzi na pewno byli już na przyjęciu w pubie. Co będzie, jeśli rzeczywiście ten potwór, 'Charlie, wyszedł je tutaj? Julia wyraźnie powiedziała, że wszystkie policyjne wozy są zajęte w terenie...

- Charlie już cię nie skrzywdzi, kochanie. Ale na wszelki wypadek zostań tutaj, kiedy pójde sprawdzic, kto przyszedł, dobrze?

Z bijącym sercem Brooke przeszła przez pokój. Kiedy mijala kominek, jej wzrok padł na myśliwski sztucer ojca. Wiedziała, że wciąż jest naładowany. Ojciec nauczył ją strzelać, kiedy była jeszcze dzieckiem. Z dumą chwalił ją za dobre oko. Wzięła do ręki broń, zadowolona, że umie się nią posługiwać. Tymczasem pukanie powtórzyło

się. To nie był nikt z sąsiedztwa. Sąsiedzi już by krzyczeli za drzwiami, dopytując się, czy wszystko w porządku.

Brooke próbowała wyrzeć przez okno w holu, ale gęsty śnieg całkowicie przesłaniał widok. Jak na ironię, w salonie rozbrzmiewały właśnie słowa kolędy: „Cicha noc, święta noc...”

- Kto tam? - zawołała głośno.

- Vance McClain, zastępca okręgowego komendanta policji federalnej.

McClain, McClain... Skądś znała to nazwisko... Oczywiście! To kuzyn Julii, który pracował w policji federalnej. Ale co robił zastępca okręgowego komendanta policji federalnej w wigilię Bożego Narodzenia w West Yellowstone?! Musiała się przesłyszeć. A może to Charlie podaje się za McClaina, żeby zmusić ją do otworzenia drzwi?

- Powiedziano mi, że znalazła pani porzuconą dziewczynkę. Chciałbym porozmawiać z panią i z dzieckiem.

Jego głęboki, lekko wibrujący głos wzbudził w Brooke kolejne podejrzenia. Ociągając się, zapaliła światło na ganku i powoli otworzyła drzwi. Musiała unieść głowę, żeby spojrzeć w twarz wysokiego mężczyźnie, który przyglądał się jej bacznie spod runda policyjnego kapelusza. Intensywność spojrzenia jego błękitnych oczu była porażająca. Wygląd także. McClain, ubrany w zimowy połowy mundur, miał szlachetną twarz poraną zmarszczkami i osmaganą wiatrem. Wyglądał jak prawdziwy bohater filmów o Dzikim Zachodzie. Brooke zaparło dech.

Tymczasem komendant pomachał jej przed oczami le-

gitymacją i uśmiechnął się trochę kpiąco, trochę prowokacyjnie. Tak się jej przynajmniej wydawało.

- Wesołych świąt, pani Longley - powiedział.

- Pan jest kuzynem Julii, prawda? - zapytała. - Kiedy usłyszałam pańskie nazwisko, byłam pewna, że się przesłyszałam. Policja federalna rzadko pojawia się w takich dziurach jak West Yellowstone.

- Zdarzają się odstępstwa od tej reguły.

Brooke nie odpowiedziała. Patrząc na McClaina, przypominała sobie słowa Julii, która kilkakrotnie próbowała poznać ją ze swoim kuzynem.

„Spójrz w lustro, Brooke. Nie rozumiem, dlaczego marnujesz taką urodę! Żaden facet nie oprze się dziewczynie o blond włosach i wielkich zielonych oczach. A Vance jest najprzystojniejszym kawalerem w całym stanie. I najtrudniejszym do usidlenia. Tak jak ty poprzysiągł, że będzie sam. Idealnie do siebie pasujecie. Gdybyś tylko nie była taka uparta!”

Brooke nagle uświadomiła sobie, że wciąż stoi ze sztucerem wycelowanym w McClaina. Opuściła broń, czując się jak kompletna idiotka.

- Przepraszam - wyjąkała. - Proszę wejść. Podziękował i wszedł do środka. Brooke obserwowała go spod oka. Od dawna nie odczuwała takiego zainteresowania żadnym mężczyzną. Przy McClainie Mark wydawał się niedojrzałym chłopcem. Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że jest bardzo ciekawa, dlaczego ktoś taki jak on nie związał się jeszcze z jakąś wspaniałą kobietą.

Zaprosiła go do salonu. Odkładając strzelbę na miejsce, zauważyła, że na widok choinki oczy McClaina roz-

jaśniły się radosnym błyskiem. Dorosły mężczyzna zareagował tak samo jak mała Sara. Potem wciągnął w płuca smakowite zapachy sącące się z kuchni. Najwyraźniej cieszył się świąteczną atmosferą panującą w jej małym, przytulnym domu.

- Proszę się rozgościć - wskazała mu wygodny fotel. Coś jej mówiło, że musiał długo jechać przez szalejącą zamieć.

- Wolałbym, żeby pani mi tego nie proponowała - mruknął, zdejmując skafander. - Czuję się tak, jakbym jakimś cudem znalazł się wewnątrz świątecznej kartki. Mały dom otoczony zaśnieżonymi drzewami. Oblodzone okienka,

i przez które widać choinkę i ogień na kominku. Wszystko wydaje się zapraszać człowieka do bajkowego świata.

Brooke poczuła dreszcz przeszywający ją od stóp do głów. Sama tak myślała o swoim domku. Z uwagą śledziła kocie ruchy McClaina, gdy zdejmował kapelusz i wieszał go obok kurtki. Julia nie przesadzała. Jej kuzyn był wyjątkowo pociągającym mężczyzną. Najprzystojniejszym, jakiego spotkała.

- Gdzie jest dziewczynka? - McClain przerwał jej zachwyty.

- Schowała się w kuchni. Jakim cudem znalazł się pan w West Yellowstone w same święta, jeśli to nie tajemnica? O ile sobie przypominam opowieści Julii, pańska rodzina mieszka w okolicach Great Falls.

- To prawda. - McClain usiadł wygodnie w fotelu. - Ale kieruję teraz specjalną grupą operacyjną przy okręgowej komendzie policji federalnej i dlatego wciąż jestem w drodze.

Ciekawe, pomyślała, czy aby nie chce uciec od swoich bliskich...

- W tej chwili natrafiliśmy na nowy ślad w sprawie, którą zajmujemy się od dwóch lat. Prowadził dokładnie tutaj. Kiedy w West Yellowstone znaleziono samochód należący do poszukiwanego przez nas przestępcy, skontaktowałem się z miejscowym posterunkiem. I okazało się, że służbę pełni akurat Julia, która natychmiast opowiedziała mi, że znalazła pani dziecko. Wszystko idealnie pasowało: ścigany przez nas człowiek podróżuje z dziewczynką, mniej więcej pięcioletnią. Oboje pochodzą z południa.

McClain przerwał na chwilę.

- Kazałem wykonać rysopis kierowcy porzuconego samochodu i rozesłać go do wszystkich okolicznych posterunków, a sam przyjechałem tutaj, żeby porozmawiać z dzieckiem. Jej zeznania mogą być bardzo przydatne.

- W tej chwili mała jest tak przerażona, że wątpię, czy w ogóle coś powie. Czy mogłabym dowiedzieć się czegoś więcej, zanim ją tu ściągnę?

McClain przez chwilę przyglądał się jej uważnie, a potem skinął głową.

- Oczywiście, mogę się mylić, ale mam przeczucie, że mogła pani przygarnąć dziewczynkę porwaną kilka lat temu przez dwóch przestępców skazanych przez sąd stanu Missisipi za morderstwa.

Brooke nie mogła powstrzymać okrzyku przerażenia. Sara znajdowała się na łasce i niełasce dwóch bandytów!

- Udało się im uciec podczas transportu do więzienia stanowego i od tej pory wciąż wymykają się pościgowi.



Ostatnio widziano ich w Utah. Właśnie tam przejąłem sprawę. Dziewczynka prawdopodobnie jest córką kobiety, którą ci bandyci zastrzelili w Missisipi.

- Jej matka nie żyje?!

- Najprawdopodobniej. Nie była zamężna, więc nie wiadomo, kto jest ojcem dziewczynki. Ale, wracając do rzeczy, gdzieś w Utah mordercy rozdzielili się lub jeden z nich zabił drugiego. Nie wiadomo, gdyż dotąd nie odnaleźliśmy ciała. Ten, który przeżył, podaje się za ojca małej, co znakomicie ułatwia mu ucieczkę.

Brooke zadrżała z przerażenia i nerwowo przesunęła dłońmi po biodrach. McClain przyglądał się jej ruchom z błyskiem typowo męskiego zainteresowania w oczach, chociaż na pewno nie był tego świadomy.

- Sara też nie nazywa go ojcem, tylko Charliem. Podobno powiedział jej, że nie ma mamy. Mała nie zna swojego nazwiska.

McClain zacisnął zęby.

- Wszystko się zgadza, ale przez dwa ostatnie lata wiele razy zdarzyło mi się iść fałszywym śladem. Jeśli Charlie jest człowiekiem, którego szukamy, trzeba go ująć jak najszybciej. Nie można dopuścić, żeby ukrył się w parku Yellowstone. W zimie nikt go tam nie wytropi.

Przerażona Brooke poczuła kompletną pustkę w głowie. Musiała usiąść, żeby nie upaść.

- Sara opowiedziała, że uciekła, kiedy Charlie wysiadł, żeby sprawdzić, dlaczego samochód stanął.

- Musiała się go strasznie bać, skoro uciekła w taką zamieć. Naprawdę Opatrzność czuwała nad nią, bo gdyby

nie pani, zamarząaby na śmierć. Czy mogę teraz prosić o szczegółowy opis całego wydarzenia?

Z uwagą słuchał opowieści Brooke, a potem się zamyślił.

- Chciałbym porozmawiać z dziewczynką, ale tak, żeby jej nie przestraszyć - odezwał się po chwili. - Wystarczająco dużo już przeszła. Wydaje mi się, że pani ufa całkowicie. Czy ma pani pomysł, jak to zrobić?

Brooke była zaskoczona jego wrażliwością. I tym, że nie wstydził się prosić jej o radę. Najwyraźniej życzliwość była wrodzoną cechą rodziny Julii. Ciekawe, czy wszyscy jej kuzyni byli tak samo przystojni jak ten?

Co więcej, Vance był opanowany i miał spore poczucie humoru. Łatwo można było wyobrazić sobie reakcję jakiegoś policjanta służbisty na widok myśliwskiego sztucera wymierzonego prosto w twarz!

Brooke musiałaby się gęsto tłumaczyć, dlaczego wita przybyszów z bronią w ręku.

- Niedobrze, że jest pan na służbie - odpowiedziała po chwili namysłu. - Gdyby nie to, powiedzielibyśmy małej, że jest pan moim znajomym, którego zaprosiłam na wigilijną kolację. Byłoby lepiej, gdyby Sara uwierzyła, że znamy się od dawna. Szkoda, że...

- Nie ma sprawy - przerwał jej, wyciągając z kieszeni telefon komórkowy. Wyłączył go i szybko dodał: - Zresztą Julia tyle mówiła o fantastycznej dziewczynie, z którą zaprzyjaźniła się w West Yellowstone, że wydaje mi się, iż znam panią od dawna.

- To miło z jej strony. - Brooke poczuła, że się czerwieni. - A co do opowieści Julii... - Zaczerwieniła się jeszcze bardziej. - Julia mówiła... To znaczy...

- Proszę się nie trudzić - uśmiechnął się. - Znam ją nie od dziś. - Nie wytrzymał i parsknął głośnym śmiechem.

Nie ulegało wątpliwości, że uśmiechnięty Vance jest jeszcze przystojniejszy niż Vance poważny. Brooke nie mogła oderwać od niego oczu.

- Ja też mam poczucie, że znam pana od dawna - powiedziała wbrew swojej woli. - Julia twierdzi, że jest pan chodzącą legendą.

- A to ciekawe! - Ton jego głosu zdradzał, że nie traktuje komplementów kuzynki zbyt poważnie.

- Martwi się o pana - dodała Brooke poważnym tonem. - Uważa, że stale się pan naraża, i ja jej wierzę. Dzisiaj jest Wigilia. Wszyscy ludzie siedzą w domu, ubierają choinki i cieszą się ze świąt, a pan goni dwóch niebezpiecznych morderców. Zgadzam się z Julią. Jest pan bohaterem.

Nie zareagował na jej komplementy. Wzruszył tylko ramionami.

- Proszę mi to powtórzyć, kiedy ich złapię. Dopiero wtedy pani pochwały sprawią mi przyjemność. Na razie wyrazy uznania należą się tylko i wyłącznie pani, bo to pani uratowała dziewczynkę.

- Przecież każdy na moim miejscu zrobiłby to samo.

- Myli się pani. Vance potrząsnął głową. - Chciałbym, żeby tak było, ale to nieprawda i proszę mi wierzyć, że wiem, co mówię. Julia powiedziała mi, że kiedy poprosiła, żeby zatrzymała pani u siebie dziewczynkę do jutra, nie wahała się pani ani chwili. Większość ludzi w takiej sytuacji odmówiłaby. Taki kłopot, i to w samo Boże Narodzenie!

25

- Niech pan nie robi ze mnie jakiejś świętej! - Teraz Brooke bagatelizowała jego pochwały. - Prawdę mówiąc, byłam zadowolona, że ją znalazłam. Boże Narodzenie jest świętem rodzinnym. Bez niej byłabym tu sama jak palec.

Usłyszała, że głos jej zadrżał. Co za idiotka ze mnie, pomyślała, zła na siebie.

- Wiem od Julii, że to pierwsze Boże Narodzenie, które spędzi pani bez ojca. Spodziewała się, że będzie pani trudno.

- Miała rację.

- Mówiła mi też o zerwanych zaręczynach. Brooke umknęła wzrokiem w bok. Ach, ta Julia!

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Przepraszam. Nie chciałem sprawić pani przykrości. - Vance spojrział Brooke prosto w oczy. - Wręcz przeciwnie. Sam przeszedłem przez piekło z powodu kobiety, którą zamierzałem poślubić. Proszę mi wierzyć, że dobrze rozumiem, co człowiek czuje w takiej sytuacji. Szczególnie wówczas, kiedy nadchodzą święta.

Niesłychane! Julia na pewno nie miała o tym pojęcia. Vance przyznał się Brooke do przeżyć, które były zbyt bolesne, żeby rozmawiać o nich nawet z najbliższą rodziną.

- Mówię o tym, bo skoro Sara ma uwierzyć, że jesteśmy przyjaciółmi, musimy coś o sobie wiedzieć, prawda?

- Tak, oczywiście - mruknęła Brooke, porażona słuszością tego, co przed chwilą usłyszała.

Tymczasem Vance rozmawiał z kimś przez telefon. Przekazał wiadomość, że kończy służbę. Do rana można kontaktować się z nim tylko w nadzwyczajnych sytuacjach. Kiedy skończył, usiadł w fotelu i zwrócił spojrzenie na Brooke.

- Dzięki Julii oboje wiemy o sobie co nieco. Dobrze byłoby powiedzieć sobie coś więcej. Ze względu na Sarę, oczywiście - dodał szybko. - A więc, mam na imię Vance.

- Wiem. Masz trzydzieści sześć lat. Uśmiechnął się z rozbawieniem.
- Tak. Urodziłem się na ranchu w pobliżu Great Falls w Montanie. Mam trzech braci, którzy są już żonaci i dzieciaci. Wszyscy pomagają tacie prowadzić rancho. Znając Julię, nie mam wątpliwości, że powiedziała ci, iż jestem największym nieudacznikiem z całego rodzeństwa.
- Nic podobnego! - wykrzyknęła. - Według niej, jesteś najzdolniejszy ze wszystkich. Powiedziała też, że to pod twoim wpływem postanowiła wstąpić do policji. Wiedziałeś o tym? ^.
- Trudno w to uwierzyć, ale nie ukrywam, że mi to pochlebia. Ja sam bardzo długo nie mogłem znaleźć sobie miejsca w życiu. Skończyłem inżynierię górniczą na uniwersytecie w Utah, ale bardzo szybko stwierdziłem, że to mnie nudzi. Tęskniłem za czymś bardziej ekscytującym.
- Jak wielu facetów - mruknęła Brooke. - I dlatego, że rzuciłeś inżynierię, uważasz się za nieudacznika?
- Nie wiesz o mnie wszystkiego. - Vance machnął ręką. - Mój przyjaciel zasugerował mi pracę w policji, ale zwykła miejska służba też mnie nudziła. Szukałem zajęcia, które byłoby prawdziwym wyzwaniem. Poza tym nie chciałem siedzieć w jednym miejscu.
- Jakbym słyszała swojego tatę - uśmiechnęła się Brooke. - Dorastał w Nowym Jorku. Potem został brokerem na Wall Street. Miał wielkie sukcesy, ale szybko okazało się, że nie wytrzymuje życia w ciągłym stresie. Ale nie widział dla siebie innego zajęcia.

Zamilkła na chwilę, jakby chciała przywołać przeszłość.

- Pewnego dnia przyjechał na wakacje do Yellowstone i uznał, że to miejsce jest rajem na ziemi. Rzucił pracę w Nowym Jorku, przeprowadził się tutaj i całe pieniądze zainwestował w podupadający sklep sportowy Teda Wilsona. Kiedy Ted przeszedł na emeryturę, tata wykupił sklep. W West Yellowstone poznał kobietę, z którą się ożenił. Wtedy urodziłam się ja. Ojciec nigdy nie żałował swojej decyzji. Zawsze twierdził, że dzięki przeprowadzce tutaj stał się innym człowiekiem. Kiedy jego nowojorscy przyjaciele przyjeżdżali do nas z wizytą, nie mogli się nadziwić. Ojciec był naprawdę zadowolony z życia.

Vance pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Znam to uczucie. Chciałbym poznać twojego tatę. Wydaje mi się, że znaleźlibyśmy wspólny język.

- Tak naprawdę to zupełnie nieważne, co się robi. Ważne, żeby czuć się szczęśliwym.

- Amen - dodał Vance i roześmiał się. - Czy to znaczy, że Brooke Longley jest szczęśliwa, prowadząc sklep swojego ojca?

Rzucił jej uśmiech, od którego ugięły się pod nią nogi. Nie, pomyślała szybko. Tylko nie to! Nic podobnego nie może się zdarzyć. Przecież poprzysięgła sobie, że drugi raz nie da się na coś takiego nabrać.

- I tak, i nie - odpowiedziała, licząc, że Vance nie zauważył wrażenia, jakie na niej zrobił. — Moi rodzice nie byli młodzi, kiedy się urodziłam. Przez większość życia mieszkałam w West Yellowstone. Skończyłam anglistykę na uniwersytecie w Wyoming i kiedy nadarzyła

się okazja, wyjechałam na rok do Japonii, żeby uczyć tam angielskiego. Po powrocie okazało się, że mama jest chora, więc porzuciłam myśl o karierze zawodowej i przyjechałam tutaj, żeby przy niej być. Poczula nagły ucisk w gardle. Musiała odchrząknąć i chwilę odczekać, żeby się opanować.

- Kiedy mama umarła, pomagałam tacie w sklepie. Po jej śmierci nigdy nie był już taki jak przedtem, aż w zeszłym roku dostał rozległego zawału serca. Lekarzom nie udało się go uratować. Chyba nie chciał, żeby im się udało.

Vance patrzył na nią ze zrozumieniem.

- Sporo przeszłaś - powiedział. - Przepraszam, że przeze mnie wróciły złe wspomnienia.

- Nie przyjmuj się! - Brooke odrzuciła głowę do tyłu. - Najgorsze już za mną. Kiedy myślę o Sarze, widzę, że nie mam prawa narzekać na swoje życie.

- Też tak pomyślałem - mruknął. - Czy teraz, kiedy jesteśmy już prawdziwymi przyjaciółmi, mogę ci się do czegoś przyznać? Umieram z głodu. Czy mogłabyś zaprosić mnie na świąteczną ucztę?

- Na jaką ucztę? - Brooke zamrugła powiekami.

- Nie mogę przestać myśleć o zapachach dolatujących z kuchni. Poczułem je, wchodząc do twojego domu, i od tamtej pory ślinka mi cieknie.

Brooke poczuła przyspieszone bicie serca.

- Obawiam się, że mogę zaproponować ci tylko klops i zapiekankę.

- Czy Julia ci nie mówiła, że klops to moje ulubione danie?



Brooke nie miała pewności, czy Vance nie żartuje. W końcu każdy zatwardziały stary kawaler może być przekonany, że wszystkie kobiety nieustannie zastawiają na niego pułapki.

- Z prawdziwą przykrością muszę cię zawiadomić, że nasze rozmowy o tobie nigdy nie były aż tak szczegółowe. - Postanowiła obrócić wszystko w żart. - Tak naprawdę Julia wciąż mi wymawia, że przypominam jej ciebie, bo za nic nie chcę wiązać się z żadnym mężczyzną. Ty podobno postanowiłeś nigdy się nie ożenić.

- Widzę, że moja kuzynka nareszcie przestała bawić się w swatkę!

- Kilka razy próbowała mnie swatać, ale w końcu się postawiłam i musiała dać sobie spokój. Chyba że specjalnie przysłała cię teraz do mnie i w cichości ducha ma nadzieję, że coś się między nami wydarzy.

Brooke zastanawiała się, dlaczego ta mała prowokacja sprawiła jej taką przyjemność. Spojrzała na Vance'a spod oka, ale jego twarz nie wyrażała niczego.

- Wprawdzie pomysł, żeby tutaj przyjść, od początku do końca był mój, ale możesz być pewna, że w tej chwili Julia planuje już ślubną ceremonię.

- I zgaduje, gdzie zamieszkamy po ślubie i ile będziemy mieli dzieci. - Brooke pokiwała głową. - Trzeba jej wybaczyć. Dopiero co wyszła za Kyle'a i nie wierzy, że romanse mogą się źle kończyć.

- To prawda - odparł Vance z takim przekonaniem, że Brooke odechciało się żartów. Najwyraźniej przeszedł w życiu nie mniej niż ona.

- Wydaje mi się, że Sara zbyt długo jest sama - zmie-

niła temat. - Czy mógłbyś zdjąć odznakę i schować broń? Może nie zorientuje się, że masz na sobie mundur. Twoje rzeczy będą zupełnie bezpieczne w przedpokoju.

- Dobry pomysł, panno Longley. - Vance znowu bez skrępowania zmierzył ją spojrzeniem. - Zawsze zdążę sięgnąć po broń, kiedy trzeba będzie cię bronić.

- Myślisz, że ten morderca może szukać naszej Sary?

- Brooke przestraszyła się nie na żarty.

Widząc to, spowaźniał od razu.

- Nie sądzę. Wie, że jest ścigany. Nie będzie tracić czasu na poszukiwania, bo musi uciekać. Mam przeczucie, że schroni się w parku Yellowstone. Złapiemy go.

Był o tym przekonany. Brooke usłyszała zawziętość w jego głosie i przeszedł ją lekki dreszcz. Biada temu, kto ma Vance'a za przeciwnika.

- Idę powiedzieć Sarze, że zostaniesz na kolacji. Jeśli chcesz się odświeżyć, łazienka jest w holu.

Pierwsze drzwi na prawo - dodała i, nie czekając na odpowiedź, wybiegła z pokoju.

- Saro, mamy gościa - zawołała od progu kuchni.

- Nie bój się. Przyszedł mój... - przerwała, kiedy zdała sobie sprawę, że jej mały gość zniknął.

Zajrzała pod nakryty długim obrusem stół. Nie było tam nikogo. Chyba Sara nie uciekła kuchennymi drzwiami na tę śnieżycę, pomyślała przerażona. Odwróciła się i odetchnęła z ulgą, bo drzwi były zamknięte na wszystkie zamki.

- Saro? Gdzie jesteś, maleńka?

- Tu... tutaj - odpowiedział cichy głosik ze schowka na szczotki.

Brooke powolutku otworzyła drzwi. Serce jej krwawiło, kiedy zdała sobie sprawę, ile przeszło to nieszczęsne dziecko. Sara przykucnęła za odkurzaczem. Widać było tylko jej czerwony kowbojski bucik.

- Wszystko dobrze, kochanie. Nie bój się. Charlie jest daleko. Wyjdź stąd teraz. Musisz poznać mojego przyjaciela, Vance'a. Jest naprawdę miły. Przyszedł spędzić z nami Wigilię.

- I umiem opowiadać różne historie - odezwał się głęboki męski głos tuż obok. Ciepło bijące od jego ciała przenikało Brooke na wylot. - Znam też historyjkę, którą opowiada się tylko w Boże Narodzenie. Moi bratankowie za nią przepadają.

Było w nim tyle łagodności, że Brooke nie mogła wyjść z podziwu. Najwyraźniej Sara miała podobne odczucia, bo po krótkim namyśle wyczołgała się z kąta i wstała, żeby mu się przyjrzeć.

- O czym jest twoja historia? - zapytała.

- O samotnym drzewku, które rosło w lesie, daleko w górach.

- Dlaczego było samotne? - Sara zrobiła krok naprzód.

- Bo straszna śnieżycą, podobna do dzisiejszej, połamała wszystkie inne drzewa.

- I co dalej?

Brooke poczuła, że łzy zbierają się jej pod powiekami. Sama chciała dowiedzieć się, co było dalej.

Patrzyła, jak Sara powolutku podchodzi do nich. Najwyraźniej Vance budził jej zaufanie.

- A co byś powiedziała, gdybyśmy usiedli przy stole?

- Vance przykucnął obok dziewczynki. - Opowiem ci całą historię, ale za chwilę. Przyznam ci się, że jestem strasznie głodny, a jedzenie, które przygotowała Brooke, tak pięknie pachnie... Klops to moja ulubiona potrawa.
- Moja też - rozpromieniła się dziewczynka.
- Czy zostało coś dla mnie?
- Zostało? - zaniepokojona nie na żarty Sara chwyciła Brooke za rękę.
- Myślę, że coś niecoś jeszcze zostało. A jeśli nie, poczęstujemy Vance'a herbatnikami.
- Herbatniki też są pyszne. Szczególnie z jagodową kon... konfu... - Sara spojrzała na Brooke - Jak to się nazywa?
- Konfitura.
- Właśnie. Z konfiturą z jagód. Brooke sama ją zrobiła - poinformowała z dumą Sara. Vance'owi zabłyśły oczy, kiedy to usłyszał.
- Nie do wiary! - zawołał. - Muszę wam powiedzieć, że ze wszystkich owoców świata najbardziej lubię czarne jagody.
- Naprawdę? - Sara otworzyła buzię ze zdziwienia.
- Naprawdę. W Montanie jagody rosną tylko w kilku miejscach. Kiedy miałem tyle lat co ty, wyprawialiśmy się z braćmi do lasu na poszukiwanie jagodowych miejsc. Najadaliśmy się do syta, a resztę owoców przynosiliśmy do domu. Nasza mama robiła pyszne naleśniki z jagodami.
- Co to są naleśniki?
- Założę się, że Brooke wie, co to jest. Musimy ją namówić, żeby zrobiła nam naleśniki na śniadanie. Wtedy zobaczysz, co to jest.

34

Sara klasnęła w dłonie z zachwytem i z błyszczącymi z podniecenia oczami odwróciła się do Brooke.

- Czy Vance może zostać u nas na noc? - spytała i nie czekając na odpowiedź kompletnie zaskoczonej Brooke, podbiegła do Vance'a. - Będziemy spać przy choince, wiesz? Brooke mi obiecała.

- Ostatnim razem spałem przy choince, kiedy byłem małym chłopcem - powiedział głośno, a potem mruknął prosto w ucho Brooke: - Wiem, iż mówiłem ci, że Charlie na pewno stąd uciekł. A jednak nie mam stuprocentowej pewności, że tak się stało. I dla waszego bezpieczeństwa zamierzam zostać tu na noc.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Brooke poczuła, jak oblewają ją fala gorąca. Wprawdzie Vance McClain, zastępca okręgowego komendanta policji federalnej, usprawiedliwił swoją decyzję względami służbowymi, ale ona i tak zaczerwieniła się po uszy.

- Dobrze - wyjąkała. - Saro, połóż na stole jeszcze jedno nakrycie, a ja tymczasem przygotuję kolację dla Vance'a.

Kiedy uszczęśliwiona Sara pobiegła do kredensu po sztućce, Brooke z ulgą stanęła przy staroświeckiej kuchence, żeby podgrzać jedzenie. Była pewna, że Vance się jej przygląda, bo czuła na plecach jego spojrzenie, ale się nie odwróciła. Chwilę później wszyscy zasiedli przy stole, ale tym razem to nie Sara tylko Vance zachowywał się tak, jakby od wieków nie jadł porządnego posiłku. Przyglądała mu się spod na wpółprzynkniętych powiek, kiedy sączył parujący grog. Uznała, że jest najprzystojniejszym mężczyzną w całej Montanie, jeżeli nie w całym kraju. A Brooke mogła uważać się za eksperta - przez sklep Longleyów przewijały się tysiące atrakcyjnych Amerykanów i setki interesujących cudzoziemców, a między nimi Mark - absolwent uniwersytetu w Los Angeles, opalony, wysportowany blondyn, błyskający

białymi zębami, w którym zakochała się niemal od pierwszego wejrzenia.

Jej nowy znajomy był ciemnowłosy, wysoki i dobrze zbudowany. Właśnie teraz uśmiechał się do Sary, dotykając palcem dołeczka w jej policzku. Brooke była całkowicie nieodporna na ten typ mężczyzny. Wystarczyło jedno spojrzenie albo sam ton lekko wibrującego głosu, a robiło się jej ciepło gdzieś w okolicach żołądka... Zmarszczki wokół ust były dowodem, że Vance wiele przeszedł, ale przydawały jego inteligentnej twarzy dodatkowego uroku.

- Co mówiłaś? - usłyszała nagle i drgnęła ze strachu. Naprawdę powiedziała coś na głos? Nie. To niemożliwe.

- Chciałybyśmy z Sarą usłyszeć dalszy ciąg twojej historii, prawda kochanie? - odwróciła się do Sary, żeby ukryć zakłopotanie.

Mała z przekonaniem pokiwała głową.

- Debrze. Na czym skończyłem?

- Po wielkiej śnieżycy drzewo zostało samo w górach - przypomniała mu Sara.

Nie pierwszy raz Brooke zauważyła, że jak na dziecko w tym wieku, Sara jest bardzo inteligentna. Była dociekliwa i miała świetną pamięć. Ciekawe, czy ma jakichś krewnych? Ojca, który jej szuka? Rodzeństwo? Rodzinę, która już dwa lata czeka na wieści o niej? Dziesiątki podobnych pytań tłukły się jej po głowie od pierwszej rozmowy z tym zadziwiającym dzieckiem.

- Drzewo stało w górach przez całe lata. Rosło i robiło się coraz starsze. Dawało cień podróżnym, którzy chcieli schronić się przed upalnym słońcem. W jego ga-

łęziach gnieździły się ptaki i mieszkała cała rodzina wiewiórek. Z jego liści ludzie robili lekarstwa, a dzieci bawiły się pod nim. Niektórzy biedni ludzie ze wsi zbierali zeschnięte gałązki, żeby rozpalić ogień.

- To było bardzo miłe drzewo, Vance.

- Najlepsze pod słońcem - odparł z powagą, a Brooke wyczuła, że dziewczynka zawojowała go całkowicie. - Ale to wszystko nie wystarczało naszemu drzewu. Aż pewnego dnia, w dzień wigilijny...

- Co się stało? - Sara zsunęła się z krzesła i z szeroko otwartymi oczami podeszła do Vance'a.

Objął ją ramieniem i zniżył głowę, jakby zamierzał powiedzieć jej coś szczególnie ważnego.

- Tego dnia urodził się chłopiec. Rodzice nie mieli gdzie go położyć, więc jego ojciec poszedł w góry i ściął jedyne drzewo, żeby zrobić z niego kołyskę dla syna.

- I drzewo płakało?

- Nie, maleńka - odparł i zmierzwił jej włosy. - Nigdy w życiu nie było szczęśliwsze.

- Jak to?

- Bo zrobiono z niego kołyskę dla małego Jezuska.

- Znam go! - Sara podskoczyła w podnieceniu. - Brooke mi go pokazała. Chodź, też musisz go zobaczyć! - Pociągnęła go za rękaw.

Vance poszukał wzrokiem Brooke. Wydawało się, że chce jej powiedzieć, iż wie: Sara jest niezwykłym dzieckiem, które potrzebuje miłości i troski kogoś szczególnego, kto pozwoli jej zapomnieć o strasznych wydarzeniach ostatnich dwóch lat. Brooke mogłaby przysiąc, że



zapewnia ją spojrzeniem, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby nie skrzywdzić dziewczynki. Tak. Vance McClain był niezwykłym człowiekiem. Podziwiała go szczerze. A jeśli chodzi o jej serce... Brooke poczuła, że miękną jej kolana, kiedy zdała sobie sprawę, co dzieje się w jej sercu. Wstała i poszła za Sarą do choinki. Była pewna, że mała, która chłoneła wszystkie informacje jak gąbka, bez trudu odnajdzie scenę ze źłóbkim.

- Jak to możliwe, że mały Jezus nie boi się psów?

- usłyszała pytanie Sary.

Teraz ona poszukała wzrokiem Vance'a. Rozłożył ręce <w geście zdumienia.

- To są krowy, kochanie - uklękła przy dziewczynce.

- Pan Jezus urodził się w stajni, a tam mieszkają krowy. To takie zwierzęta, które dają mleko.

- A czy one gryzą?

- Nie. Są bardzo łagodne. I kochają Jezusa jak każde żywe stworzenie.

Sara przysunęła się do Brooke i objęła ją za szyję.

- Czy ty masz psa? - zapytała z niepokojem w głosie.

- Nie.

- Bo ja nie lubię psów.

- Dlaczego?

- Charlie miał kolegę, a on miał psa. Takiego dużego jak te krowy. Nie mogłam się ruszyć, bo oni powiedzieli, że ten pies mnie ugryzie.

Święty Boże! Przerażona Brooke przełknęła ślinę.

- Co się stało z psem i tamtym człowiekiem? - zapytał Vance łagodnie.

- Nie wiem. Charlie bardzo się z nim pokłócił. Bili się, a potem Charlie kazał mi wsiąść do samochodu.

- A potem już nie widziałaś kolegi Charliego?

- Nie, ale boję się, że oni przyjdą i mnie zabiorą. - Sara schowała twarz w ramionach Brooke i przyłgnęła do niej przestraszona.

- Nie bój się, Saro. Nie wiedzą, że tu jesteś. I obiecuję ci, że nigdy już ich nie zobaczysz.

W głosie Vance'a była taka zimna wściekłość, że Brooke poczuła dreszcz strachu.

- Obiecujesz? - Sara oderwała się od niej i spojrzała na Vance'a.

- Obiecuję. W Wigilię nie wolno kłamać - zapewnił ją solennie.

- Ty niczego się nie boisz, prawda? Vance na chwilę wstrzymał oddech.

- Jasne, że się boję.

- Boisz się?!

- No pewnie. Na przykład, boję się, że Brooke zechce cię mieć tylko dla siebie i nie pozwoli mi zostać tutaj na noc.

Mała główka odwróciła się z szybkością błyskawicy.

- Brooke! Prawda, że Vance może z nami zostać? Przecież musiał wiedzieć, że nie chcę, żeby w moim domu i w moim życiu był jakiś mężczyzna, pomyślała Brooke. Bawi się moim kosztem.

A jednak w głębi serca nie czuła złości. Przecież chodziło o dobro Sary. I o zdobycie jej zaufania.

Inaczej Vance nie zbierze informacji, które pomogą mu złapać

groźnych przestępców. A ja, przykazała sobie w duchu Brooke, muszę mu w tym pomóc, nawet jeśli jego obecność tak mnie deprymuje! To tylko jedna noc.

- Oczywiście, że może - odpowiedziała, patrząc jedynie na Sarę. - Pożyczę mu śpiwór, a ty będziesz spała tutaj - wskazała sofę.

- Cudownie! - klasnęła w ręce mała. - Całą noc będę patrzeć na choinkę.

- Możesz patrzeć, jeśli dasz radę. Ale mnie się wydaje - zaśmiał się Vance - że powieki pewnej małej dziewczynki robią się coraz cięższe.

Jego ciepły głos sprawił, że Brooke dostała gęsiej . skórki. Stanowczo zbyt emocjonalnie reaguje na każde słowo tego mężczyzny.

- Chodźmy, Saro, musimy przygotować się do snu. Na widok dziwnego błysku w oczach Vance'a ugięły się pod nią kolana.

- Będę na was czekać - powiedział. - I pozmywam naczynia.

- Nie musisz.

- Przyznam ci się, że wciąż jestem głodny. Chętnie zjadłbym wszystko, co zostało z kolacji, jeśli, oczywiście, nie masz nic przeciwko temu.

Ten człowiek ją zniewalał. A Sara zadurzyła się w nim na zabój.

- Bierz wszystko, co mam.

- Naprawdę? - mruknął przeciągle, a Brooke dopiero wtedy zorientowała się, jak dwuznacznie zabrzmiała ta odpowiedź.

Porwała torbę z rzeczami, które przyniosła dla Sary,

złapała dziewczynkę za rękę i, nie oglądając się za siebie, wypadła z pokoju.

- Mówiłam o jedzeniu! - krzyknęła przez ramię, wlokąc Sarę po schodach w takim tempie, że mała nie mogła za nią nadążyć.

- Rozczarowałaś mnie, Brooke - dobiegł ja kpiący głos Vance'a. - Już myślałem...

Wpadła do sypialni, zatraskując drzwi.

- Czy ty zwariowałaś? - zapytała Sara najzupełniej poważnie, patrząc na nią z niepokojem.

Brooke miała ochotę z całych sił walnąć się w głowę.

- Nie, kochanie. Na pewno nie. Vance czasami mówi rzeczy, których wolałabym nie słyszeć.

Trzasnęłam drzwiami, żeby zrozumiał, co czuję. Ale nie jestem na niego zła. Podejrzewam, że on pęka teraz ze śmiechu.

- To dobrze, bo ja bardzo go lubię, wiesz?

- Ja też.

Sara podreptała za Brooke do garderoby i z zachwytem patrzyła na długą nocną koszulę zakończoną falbanką, w którą przebrała się jej opiekunka.

- Chciałabym, żeby Vance był moim tatusiem, a ty moją mamą.

Sara, kochanie! Rozdzierasz mi serce, pomyślała Brooke. Pokochałabyś każdego, kto ofiaruje ci choć trochę serca.

- Gdybym miała córeczkę, chciałbym, żeby była podobna do ciebie - odparła i uścisnęła dziewczynkę.

- Ja nie mam mamy. Czy nie mogłabym być twoją córeczką?

- Ale ja nie mam męża, maleńka.

- Vance może być twoim mężem.
- Ale on jest zatwardziałym starym kawalerem.
- Co to znaczy?
- Że w żadnym wypadku nie chce się żenić. - Te słowa tylko pogorszyły humor Brooke. - A teraz chodź do łazienki. Wsadzę cię do wanny i umyję ci włosy.

Na szczęście Sara zajęła się kąpielą i przestała zadawać niewygodne pytania. Po chwili, wyszorowana, z uśmiechem pachnącym miętową pastą do zębów i mokrymi włosami związanymi w koński ogon, paradowała po łazience w nowej piżamie w renifery i przeglądała się w lustrze.

- Czy mogę pokazać się Vance'owi? - Podskakiwała, z zachwytem patrząc na swoje odbicie..
- Jasne.

Kiedy dziewczynka z hałasem zbiegała po schodach, Brooke odszukała dmuchany materac i starą pompkę rowerową, które razem ze śpiwozem zniosła na doi. W salonie Vance włączył nagranie piosenki o reniferach z zaprzęgu Świętego Mikołaja i uczył Sarę śpiewać, ale nie przegapił jej wejścia. Obrzucił ją bacznym spojrzeniem i kolejny raz serce Brooke забиło mocniej. Modląc się w duchu, żeby Vance nie zauważył, jakie robi na niej wrażenie, zaczęła śpiewać.

Buzia Sary promieniała szczęściem. Mała nie tylko była śliczna, ale umiała poruszać się z wielkim wdziękiem. Nie było wątpliwości, że wyrośnie kiedyś na atrakcyjną kobietę.

Nagle, wśród radosnych okrzyków i głośnych śpiewów, rozległo się pukanie. Sara zastygła w bezruchu.

43

Vance rzucił Brooke znaczące spojrzenie. Zajmę się tym, mówił jego wzrok. Ale zanim podszedł do drzwi, z dworu odezwały się znajome głosy:

- Brooke! To my! Julia i Kyle! Otwórz, bo strasznie zimno.

Sara jednym skokiem znalazła się w ramionach Vance'a.

- Nie bój się, kochanie - pogłaskała ją Brooke. - To moi przyjaciele. Mówiłam ci, że przyjdą do nas z wizytą.

Potem otworzyła drzwi. Jeden rzut oka wystarczył, żeby wyobrazić sobie, co pomyślała Julia, obejmując uważnym wzrokiem uroczą domową scenkę w salonie Brooke.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Wesołych świąt wszystkim, a szczególnie tobie, kuzynie - zahuczał tubalnie Kyle.
  - Dziękuję, kuzynie - przedrzeźniał go Vance, skłaniając głowę w podziękowaniu. - Saro, poznaj moją kuzynkę Julię i jej męża Kyle'a. To starzy przyjaciele Brooke, którzy bardzo chcieli cię poznać.
  - Naprawdę chcieliście mnie poznać? - Na twarzyczkę Sary powrócił uśmiech.
  - Jasne, że tak. - Kyle puścił do niej oko. - Właściwie to przyszliśmy tutaj, żeby dać ci prezent. Zza pleców wyciągnął wielką paczkę z ozdobną czerwono-zieloną kokardą i położył ją przed Sarą. Dziewczynka była niewiele większa od prezentu.
  - Czy chcesz otworzyć ją teraz, czy wolisz poczekać do jutra? - zapytał Kyle. Dziewczynka szeroko otworzyła oczy i w zachwycie przenosiła wzrok z pudła na Vance'a i Brooke.
  - Co mam zrobić? - wyjąkała w końcu.
- Brooke poczuła łzy w oczach. Sara traktowała ją jak matkę.
- Zrób to, na co masz ochotę, maleńka.
  - Chyba ją otworzę.

- Cieszę się, że to zrobisz. - Vance przykucnął obok dziewczynki, żeby pomóc jej rozwiązać kokardy.

- Ja chyba nie mógłbym doczekać się jutra.

Kiedy tylko uchylili wieko pudła, Sara aż pisnęła z zachwytu. W środku był wielki złocisty miś w kamizelce i kowbojskim kapeluszu z napisem „West Yellowstone, Montana” wyhaftowanym na rondzie. Takie misie można było dostać tylko w jednym jedynym sklepie w mieście. Julia musiała ubłagać właściciela, żeby otworzył sklep specjalnie dla niej.

- Ma cztery łapy i wszystkie palce. Myślę, że jest w porządku. - Vance udawał, że sprawdza misia.<sup>4</sup>  
Ciekawe, jak go nazwiesz?

- Jimmy - odparła dziewczynka bez zająknięcia. Nad jej głową dorośli wymienili znaczące spojrzenia. To imię, wymienione bez zastanowienia, mogło oznaczać, że tak nazywał się któryś z członków jej rodziny.

- Czy mogę z nim spać? - Sara wtuliła buzię w miękkie futerko niedźwiadka.

- Oczywiście - odpowiedziała Brooke łamiącym się głosem.

- Jest kochany. - Dziewczynka spojrzała na Julię i Kyle'a. - Dziękuję bardzo za prezent - oznajmiła i poważnie skinęła głową.

Kto ją tego nauczył? I kiedy? zastanawiała się Brooke. Czy ona' może być dziewczynką, której matka została zamordowana przez dwóch zbiegłych bandytów?

- Bardzo proszę - odpowiedziała równie poważnie Julia.

- A prezent dla mnie, kuzyneczko? - drażnił się Vance



z Julią, a Brooke na dźwięk jego głosu poczuła gęsią skórę na ramionach.

- No proszę, proszę! Co za zachłanność! - zakpiła Julia. - Wydawało mi się, że masz tu wszystko, czego dusza może zapragnąć. Ale skoro chcesz prezentu, mogę pocałować cię pod jemiolą.

- O nie! Ja jestem pierwszy w kolejce. - Kyle zaciągnął żonę pod wieniec z jemioli wiszący nad drzwiami wejściowymi i pocałował ją na oczach wszystkich.

- Saro, teraz twoja kolej. - Vance uniósł dziewczynkę, a ona, naśladując Julię, złożyła usta, ale wśród ogólnego rozbawienia pocałowała go gdzieś w czubek brody.

- Teraz kolej na Brooke! - zawołała mała, kiedy znowu znalazła się na podłodze.

- Myślę, że już dość tego całowania na dzisiaj. - Brooke poczuła, że zalewa ją fala gorąca.

- A ja myślę, że za dużo myślisz - mruknął Vance i zanim Brooke zdążyła się zorientować, co się dzieje, zaciągnął ją pod jemiolę. - Ponieważ jesteś taka nieśmiała, wybawię cię z kłopotu - rzekł i pocałował ją w same usta.

Brooke wiedziała, że Vance robi wszystko, żeby rozbawić Sarę, a jednak pocałunek trwał dłużej, niż oczekiwała. Nagle, niespodziewanie jak uderzenie pioruna, przeszył ją ogień pożądania. Przyłgnęła do Vance'a na jedną krótką chwilę; bo kiedy z przerażeniem zdała sobie sprawę, co robi, odskoczyła jak oparzona. Było jej wstyd. Gorzej! Czuła się upokorzona. Z pokrytymi rumieńcem policzkami odwróciła się do Julii:

- Wchodźcie. Mam grog i domowe pierniczki. Rozbierzcie się, a ja uprzątnę papier i wstążki.

- Dobry pomysł - mruknął Kyle, podchodząc do Julii, żeby pomóc jej zdjąć płaszcz.

Tymczasem ona, odciągając go na bok, powiedziała:

- Nie możemy z wami zostać. Mam jeszcze mnóstwo roboty w domu. Wpadliśmy tylko, żeby dać Sarze prezent. Ale zapraszam całą waszą trójkę na jutro. Będzie indyk ze wszystkimi dodatkami. Co wy na to?

- Czy pójdziemy, Brooke? - Sara podskoczyła z radości na myśl o pójściu w gości.

- Nie... nie wiem - Przecież Sara miała być u niej tylko przez jedną noc.

- Na pewno przyjdziemy - zapowiedział niespodziewanie Vance. - Szczególnie że będzie mus żurawinowy według przepisu ciotki Łucji. Musicie wiedzieć, że ciotka Łucja jest najlepszą kucharką w całych Stanach.

- Co to jest mus żurwiowy? - Sara patrzyła na Vance'a z uwielbieniem.

- To deser lepszy od lodów.

- Lubię lody.

- W takim razie czekamy na was jutro. Wesołych świąt! - Julia uśmiechnęła się z wyraźną satysfakcją.

- Wesołych świąt - odchrząknęła Sara najgłośniejszym głosem ze wszystkich.

Brooke chciała zawołać Julię i błagać ją, żeby została. Ale nie zrobiła tego. Zamknęła drzwi na klucz i wróciła do salonu. Przez moment wydawało się jej, że ów mężczyzna i ta dziewczynka są jej mężem i dzieckiem. Mogłoby tak być. Nie do wiary, że zaledwie kilka godzin temu byli sobie zupełnie obcy.

- Twoja kuzynka wydawała się zachwycona, widząc

ciebie i mnie pod jednym dachem. - Brooke postanowiła wykpić całą sytuację po to, żeby Vance nie myślał przypadkiem o ich pocałunku. - Myślę, że wyszła, żeby nie popsuć naszego spotkania.

- Masz rację. Teraz zaciera ręce, zadowolona, że zaprosiła nas do siebie. Niczym się nie martw. Jakoś to wytrzymam. Julia świetnie gotuje, więc nie będzie mi trudno. Ten Kyle to szczęściarz.

- Jasne, i nie tylko dlatego, że Julia dobrze gotuje. Ona jest wspaniała.

- Gdyby tylko nie bawiła się w swatkę!

- Co to jest „swatka”?

Cienki głosik Sary przypomniał Brooke, gdzie jest.

- To znaczy, że Julia chce, żeby wszyscy byli tak szczęśliwi jak ona i Kyle.

- Ty i Vance też jesteście szczęśliwi?

- Tak. - Policzki Brooke były czerwone jak wiśnie.

- Chcę być waszą córeczką i z wami mieszkać. Już drugi raz Sara poruszyła ten temat. Tym razem w obecności Vance'a. Jaka szkoda, że nie można powiedzieć temu dziecku, że gdzieś na południu czekają na nią rodzice i kochająca rodzina. Sytuacja stawała się raczej skomplikowana. Sądząc z jego poważnej miny, Vance także nie wiedział, jak się zachować.

- Nie mówmy teraz o tym. Czas iść spać. Vance, w pokoju rodziców znajdziesz ubrania taty. Weź sobie wszystko, co ci potrzebne. I przynieś sobie kołdrę albo koc.

Brooke nie lubiła rozstawać się z rzeczami. Teraz była zadowolona, że po śmierci ojca nie wyrzuciła jego ubrań.

Vance podziękował i wyszedł, po drodze zachodząc do przedpokoju. Zorientowała się, że chce zatelefonować do swoich przełożonych. Należało zająć czymś Sarę.

- Chodź, kochanie. Schowamy się pod kołdrę, a ja opowiem ci swoją bożonarodzeniową historię.

- Poczekajmy na Vance'a. Na pewno chciałby ją usłyszeć - poprosiła Sara, wdrapując się na kanapę razem z nowym misiem. Dla Brooke zostało już niewiele miejsca.

To mogłoby być bardzo długie czekanie.

- Myślę, że słyszał już historię o Świętym Mikołaju.

- Kto to? - zapytała Sara, a usłyszawszy odpowiedź, zaniepokoiła się nie na żarty. - Czy Mikołaj i mnie przyniesie prezent?

- Poczekaj, to sama zobaczysz.

I Brooke zaczęła myśleć, czy ma coś stosownego dla Sary. Na szczęście pod choinką leżało sporo prezentów, które jej znajomi przynieśli w ubiegłym tygodniu. Kiedy tylko mała zaśnie, odpakuje je i zobaczy, co można jej podarować.

- Ale czy Mikołaj wie, że ja tu jestem?

- On wie wszystko.

- To dobrze - uspokoiła się Sara. - Teraz opowiedz mi o nim.

Brooke zaczęła mówić, a kiedy Sara zasnęła, ostrożnie zsunęła się z łóżka i wyjęła misia z jej objęć. Otuliła dziewczynkę, myśląc, że zaczyna rozumieć, co czują rodzice, kiedy najciszej jak umieją przygotowują prezenty w wigilijną noc, tak żeby nie zbudzić dzieci i nie zepsuć im porannej niespodzianki.

Vance pojawił się w salonie, kiedy na palcach skradała się do kuchni z naręczem paczek. Natychmiast zrozumiał, o co chodzi.

- Co jeszcze mogę zrobić? - zapytał, otwierając przed nią drzwi.

Spojrzała na niego z uznaniem i omal nie wypuściła z rąk prezentów, kiedy zobaczyła wpatrzone w siebie niebieskie oczy.

- W sypialni zostawiłam torbę z ubraniami dla Sary, które przyniosłam ze sklepu - odpowiedziała. - Znieś ją, proszę, a ja tymczasem znajdę papier do pakowania i nożyczki. Potem zobaczymy, co możemy jej podarować.

- Brooke Longley, jest pani zadziwiającą kobietą - mruknął, zanim wszedł na górę. - Zaraz wracam. Nie słuchaj jego komplementów, bo jeszcze przewróci ci się w głowie, napomniała się stanowczo. Poza tym, dodała po chwili, on jutro odjedzie i więcej go nie zobaczysz. Uspokojona konwersacją z samą sobą, zabrała się do przeglądania prezentów. Na szczęście były wśród nich pyszne domowe ciasta i torby pełne słodczy. Pan Wheeler, znajomy rzeźnik, podarował jej pudło wspaniałych gruszek.

Kiedy Vance wrócił z kowbojskim kapeluszem i parą srebrnych ostróg, wiedziała, że Sara będzie zadowolona z prezentów.

- Przyniosłem jeszcze to - oznajmił i podał jej długą pończochę, którą wyjął z szuflady pana Longleya.

- Nie ma Bożego Narodzenia bez prezentów znalezionych w pończosze. Przepraszam, że wziąłem ją bez pozwolenia.

- Nic nie szkodzi. Tato, gdyby żył, też by ją poda-

rował Sarze. Wrzucić do niej słodycze i owoce, dobrze? Ja zapakuję resztę.

Śledziła go kątem oka. Był świetnie zbudowany. Nie mogła nie podziwiać jego muskularnego ciała widocznego pod napiętym materiałem mundurowej bluzy. Cała kuchnia przeniknięta była męskim zapachem. I nie ma się co dziwić. Mężczyzna jego wzrostu wypełniał sobą całą przestrzeń niewielkiego pomieszczenia.

- Jeśli masz ochotę, to na kuchence jest kawa.

- Świetnie. Właśnie czekałem na zaproszenie. Czy mogę spróbować trochę tego kawowego ciasta?

- Oczywiście. Dostałam je od Luizy Rritchard. Jej mąż prowadzi tutaj sklep z końskimi siodłami.

- Pyszne - powiedział z pełnymi ustami, po czym podszedł do kuchenki i napełnił kubek kawą.

Wracając, zatrzymał się przed Brooke. - Pocałunek pod jemiola też był smakowity. Co byś powiedziała na jeszcze jeden?

I nie czekając na odpowiedź, schylił się i pocałował ją w usta.

- Wiesz co? Twoje wargi są doskonałe. Boję się, że gdybyśmy się częściej widywali, całowanie ciebie weszłoby mi w nawyk. Nie pamiętam, kiedy tak dobrze się bawiłem podczas Wigilii.

Ja też, Vance, chciała mu odpowiedzieć, ale zrezygnowała. W jej przypadku zwrot „dobrze się bawić” nie miał sensu. W duszy Brooke szalała burza. Albo wichura. Albo trzęsienie ziemi.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Zjem ciasto i pomogę ci pakować prezenty. Sara nigdy się nie domyśli, co knuliśmy dzisiaj w nocy. Wieczór był tak cudowny, że Brooke bała się go zepsuć. Jednak niepokój o Sarę był silniejszy.

- Vance, czy myślisz, że Sara jest dzieckiem porwanym przez bandytów, których szukasz?

- Nie wiem tego na pewno - zmarszczył ciemne brwi. - Wiele poszlak na to wskazuje, ale nie będziemy mieć pewności, dopóki centrala nie zakończy śledztwa.

Brooke zacisnęła pięści i zaczerpnęła łyk powietrza, żeby wziąć się w garść.

- Jest bardzo inteligentnym dzieckiem, ale...

- ...nie zna najbardziej podstawowych rzeczy - dokończył. - Ja też zauważyłem jej zaskakującą niewiedzę w niektórych dziedzinach życia.

- Trudno się dziwić, jeśli założymy, że ci dwaj straszni ludzie ciągnęli ją z sobą przez pół kraju. -

Brooke była tak przejęta, że mówienie przychodziło jej z trudem. - Straciła dwa lata. W jej wieku to bardzo ważne.

Vance pokiwał głową i zamyślił się przez chwilę.

- Od razu widać, że jest bardzo wrażliwym dzieckiem.

- Wiem. - Brooke ciężko westchnęła. - Lgnie do wszystkich, którzy okazują jej choćby cień miłości. Vance objął Brooke uważnym spojrzeniem, jakby chciał sprawdzić, czy wytrzyma to, co zamierza jej powiedzieć, a potem odezwał się cichym, poważnym tonem:

- Już teraz Sara cię uwielbia. I dlatego trzeba jak najszybciej zawieźć ją do jej rodziny. W przeciwnym razie nie zechce się z tobą rozstać i będzie bardzo cierpieć.

- Na twój widok też szaleje ze szczęścia - rzuciła Brooke drżącym głosem. - Słyszałeś, co powiedziała. Chciałaby, żebyśmy byli jej rodzicami.

- Trudno się jej dziwić. Każde dziecko w podobnej sytuacji czepia się tego, co miłe, żeby zapomnieć o złych rzeczach, które je spotkały.

Oczywiście! Vance, zdeklarowany przeciwnik małżeństwa, musiał tak mówić. Brooke nie powinna czuć się dotknięta jego słowami. A jednak była. Jesteś głupia, Brooke, pomyślała. Przecież dobrze wiesz, że ten człowiek nic do ciebie nie czuje. Dlaczego miałby czuć?!

- Istnieje prawdopodobieństwo, że Sarę porwano komu innemu. Być może ma rodziców, którzy oszaleją ze szczęścia na wieść o jej odnalezieniu - teoretyzował Vance.

- Ale założmy, że jej matkę zabili tamci bandyci - nie ustępowała Brooke. - Czy wiadomo, gdzie jest jej ojciec?

Vance nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Brooke nie umiała odczytać, co kryje się za nieprzenikniętym wyrazem jego twarzy.

- Według informacji, które udało mi się zebrać, jej



matka nigdy nie była zamężna. Ojciec dziecka opuścił ją dawno temu.

Brooke zakryła oczy i wydała cichy okrzyk zgrozy.

- To znaczy, że mała jest sama na świecie!

- Niekoniecznie. Przecież może mieć dużą rodzinę. Jakichś wujków i ciotki. Prosiłem już centralę, żeby to sprawdzili.

- A jeśli nikt z nich jej nie zechce? Vance spojrział na nią surowo.

- Nie zakładajmy niczego, zanim będziemy mieć ostateczną pewność. To nie ma sensu.

- Nie chcesz mi powiedzieć, że umieszczą ją w domu dziecka, prawda? Będzie tam czekać na adopcję

- Brooke przeraziła myśl, że Sara znowu będzie musiała żyć wśród obcych. - Przecież tamci ludzie nie rozumieją, przez co przeszła. Ona jest za mała... Za wrażliwa. Nie zniosę sytuacji, w której... - była bliska płaczu.

Brooke - uspokajał ją Vance cichym głosem. Nie wiedziała, jak do tego doszło, ale chwilę później znalazła się w jego mocnych ramionach. Z twarzą wtuloną w pierś Vance'a, załamała się kompletnie.

- Gdybyś mógł słyszeć jej płacz... Tam, w tej śnieżycy... Gdybyś widział te chude, gołe nóżki, trzęsące się z zimna. Z trudem mogła ustać, kiedy waliła sinymi rączkami w szybę sklepu. Gdybyś to widział...

Brooke nawet nie próbowała powstrzymać płaczu.

- Ciiii... - Vance głaskał ją po jasnych jedwabistych włosach, a potem przyciągnął do siebie. - Zjawiłaś się w samą porę. Teraz Sara jest tutaj, bezpieczna i spokojna. Nie warto krakać. Przecież jest Boże Narodzenie. Noc cudów.

- Masz rację - mruknęła pomiędzy atakami czkawki. - To cud, że ją usłyszałam. Gdybym...

- Ale ją usłyszałaś - odparł stłumionym głosem.

- Czy możesz mi coś przyrzec, Vance? - Kurczowo złapała go za rękę.

- O co chodzi?

- Przyrzeknij mi, iż jeśli okaże się, że Sara nie ma rodziny, wykorzystasz wszystkie swoje wpływy, żeby jak najszybciej znaleźli jej rodzinę zastępczą. Najlepszą, jaka może być.

Uniosła głowę i popatrzyła na niego błagalnie. Zbyt późno zdała sobie sprawę, że niemal dotykają-«ię ustami. Czowała jego ciepły oddech na swoim policzku.

- Przyrzeknij mi to. Proszę. Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Przyrzekam.

Powaga, z jaką to powiedział, poraziła ją do głębi.

- Dziękuję - szepnęła i znowu się rozplakała.

- Nie musisz mi dziękować - mruknął, dotykając ustami jej ust. Potem wypuścił ją z objęć, a ona poczuła się tak, jakby odebrano jej coś drogiego. - Ja też chcę, żeby Sarze było jak najlepiej.

Schylił się i zaczął zbierać z podłogi opakowane prezenty.

Brooke ani przez chwilę nie wątpiła w jego szczerłość. Cały wieczór obserwowała Vance'a oraz Sarę i widziała, jak powstaje między nimi coraz silniejsza więź. Było to tym dziwniejsze, że po doświadczeniach, jakie dziewczynka miała ze swoimi strasznymi „opiekunami”, można by przypuszczać, że będzie się bała wszystkich mężczyzn. Widocznie Vance ma swoje sposoby...

I to nie tylko na dzieci. Brooke już teraz tęskniła za bliskością jego ciała. Jego obecność w tym domu wydawała się czymś najnaturalniejszym na świecie. Gdyby Brooke odważyła się teraz na szczerość, musiałyby przyznać, że chce, żeby te magiczne święta nigdy się nie skończyły.

I pomyśleć, że rok temu, o tej samej porze, chciała umrzeć.

A dzisiaj? Dzisiaj ona, Vance i Sara tworzyli rodzinę z jej marzeń. Nigdy nie wierzyła, że marzenia mogą się spełniać, więc kiedy Boże Narodzenie dobiegnie końca, powrót do rzeczywistości nie sprawi jej kłopotu. Na razie trzeba cieszyć się tym, że są razem.

Jedno jest ważne. Vance nie może się domyślić, co dzieje się w jej duszy. A zatem Brooke ma do odegrania swoją życiową rolę. Nie wolno jej teraz pobiec za nim do salonu, mimo że całym sercem chciałaby to **zrobić!**

Z całą stanowczością nakazała sobie zostać w kuchni. Zabrała się do sprzątnięcia, a potem przygotowała ciasto na naleśniki, które zamierzała podać jutro na śniadanie. Dała Vance'owi pół godziny, po czym zgasła światło i na palcach weszła do salonu.

Wokół panowała cisza. Odgłos równych oddechów Sary i Vance'a dowodził, że oboje spali. Z trudem powstrzymała się, żeby nie podejść do jego materaca. Westchnęła i ułożyła się obok Sary i Jimmy'ego. Jeszcze wczoraj podobna sytuacja wydawałaby się jej nierealna. Dzisiaj nie wierzyła, że może być inaczej.

Ułożyła się na brzuchu, żeby widzieć niewyraźną mę-

ską sylwetką z drugiej strony choinki, i oddała się marzeniom. Nawet nie zauważyła, kiedy zasnęła. Nad ranem ocknęła się niespodziewanie. Chyba coś usłyszała. Niepewna, czy to jawa, czy sen, nasrachiwała przez chwilę. Nagle dźwięk się powtórzył. Sara! Śpiąc w najlepsze, z krzykiem zakryła głowę rękami, jakby broniła się przed uderzeniem.

Kilka metrów dalej Vance usiadł wyprostowany na swoim pościeliu. W świetle choinkowych lampek Brooke widziała rysy jego twarzy i muskularny tors odziany w biały podkoszulek. I jego obudził krzyk Sary.

Brooke wyciągnęła rękę i zapaliła małą lampkę. Wymienili zatroskane spojrzenia. Porozumieli się bez słów. Potem Brooke wzięła Sarę w ramiona i zaczęła uspokajać ją cichym głosem. Vance w jednej chwili był obok. Usiadł na brzegu kanapy i zamknął je obie w uścisku. Chciał w ten sposób dać poczucie bezpieczeństwa Sarze - to było oczywiste. Ale Brooke, boleśnie świadoma jego fizycznej bliskości, pozwoliła sobie na małą prowokację. Wtuliła się mocno w jego ramiona.

Sara otworzyła oczy. W pierwszej chwili wydawała się zdezorientowana. Przenosiła wzrok z Brooke na Vance'a, który schylił się i pocałował ją w czubek nosa. Na jej buzi natychmiast pojawił się szeroki uśmiech. W jednej chwili zapomniała o nocnych koszmarach.

- Wesołych świąt, Saro. Zobacz! W nocy był u nas Święty Mikołaj.

Sara osłupiała.

- Czy przyniósł jakieś prezenty dla mnie?

- Musisz sprawdzić pod choinką.

Mała wysunęła się z jego objęć i w jednej chwili znalazła się przy prezentach, pokrzykując z radości za każdym razem, kiedy znajdowała paczkę dla siebie.

- Widzę, że coś jeszcze zwisa z kominka - podpowiedziała jej Brooke.

Kiedy dziewczynka pobiegła sprawdzić, co to jest, Brooke zerknęła na Vance'a. Patrzył na Sarę, zupełnie nieświadomy, że jest obserwowany. Jeszcze nigdy w oczach żadnego mężczyzny nie widziała tyle czułości. Wstrzymała oddech. To nie był moment na komentarze. Vance na pewno nie chciałby, żeby postronni odkryli tę stronę jego natury. Brooke udało się to przypadkiem.

- To jest pończocha! - podniecona Sara tańczyła wokół kominka. - Czy mogę ją zdjąć?

- Jasne! - zachichotał Vance. - Na pewno jest w niej mnóstwo smakołyków. Święty Mikołaj zostawił ja dla ciebie.

Radość Sary sprawiła, że dla Brooke Boże Narodzenie nabierało dawnego, zapomnianego znaczenia. Nie musiała pytać Vance'a. Wiedziała, że doznaje tych samych uczuć.

Tymczasem Sara razem ze swoją zdobyczą usiadła na środku pokoju i, jak wszystkie dzieci, niecierpliwie wytrząsała zawartość pończochy na podłogę.

- O co się założysz, że zaczniesz od lizaków? - szepnął jej prosto do ucha, a Brooke natychmiast przeszył leciutki dreszcz.

Nie zdążyła odpowiedzieć, kiedy Sara wyciągnęła różowy język, żeby spróbować lizaka w biało-czerwone palki. Ułyszeli jęk zachwytu. Równocześnie dziewczynka odwtyła z papierków domowe krówki.

- Te krówki są słynne w całym stanie - cicho wyjaśniła Brooke Vance'owi. - Rodzinna firma Grunbych jest dosłownie zawałona zamówieniami. Od pięciu lat staram się wyłudzić od nich przepis. Bez skutku.

Zaśmiał się gardłowym śmiechem. To bardzo miły śmiech, uznała Brooke. I bardzo miła sytuacja, pomyślała po chwili.

Sara chrupała teraz popcorn. Na gruszkę zabrakło miejsca.

- A co z resztą prezentów? Może zobaczysz, co jest w środku?

- Oczywiście. - Vance usiadł przy małej, - Jeśli połkniesz wszystkie cukierki, nie dasz rady zjeść śniadania. A Brooke obiecała nam naleśniki z konfiturą jagodową. Spróbuj otworzyć to. - Podał dziewczynce paczkę.

- Co to jest?

- Zobacz sama. Odwiń papier i sprawdź.

Sarze drżały ręce, kiedy otwierała paczkę. Ze środka wypadł kowbojski kapelusz. Przyjrzała się mu z zachwytem i natychmiast wsadziła go na głowę. Vance zawiązał jej pod brodą sznurek.

- Wyglądasz jak prawdziwa kowbojka - stwierdził i pocałował ją w czubek nosa.

- Co to jest „kowbojka”?

- Dziewczynka, która jeździ konno.

- Ale ja nie mam konia.

- Nie szkodzi. Ja go mam. Właściwie to nie jest koń, ale kucyk. Niewiele większy od ciebie.

- Gdzie on jest? - Sara klasnęła w ręce z zachwytem,

a potem podeszła do Vance'a i zarzuciła mu ręce na szyję. - I jak ma na imię?

- Jest na ranchu mojego taty. To nie on, tylko ona. Nazywa się Patchwork.

- Pacz... co?

- Patchwork - wtrąciła się Brooke - to taka narzuta zszyta z różnych materiałów. Mamy taką na fotelu w kącie, widzisz?

Brooke niemal widziała, jak pracuje mózg Sary, która przyswaja sobie wszystkie nowe wiadomości.

- Czy twój konik też ma tyle kolorów? - zapytała. - Nauczysz mnie na nim jeździć?

Po raz pierwszy Vance nie odpowiedział od razu. Brooke zrozumiała jego wahanie. Nie wolno dawać dziecku obietnic, których być może nie uda się spełnić. Nie wolno wprowadzać małej w błąd. Łatwo było wyobrazić sobie, że Sara jest ich dzieckiem, ale to przecież nieprawda. Niedługo ktoś ją stąd zabierze.

Vance prawdopodobnie myślał to samo. Wstał z niepewnym wyrazem twarzy.

- Może kiedyś - powiedział. - Ale teraz musisz sobie wyobrazić, że masz konia.

- Mam pomysł - zawołała Brooke. - Poczekajcie chwilę!

Zniknęła za drzwiami i za chwilę wpadła do pokoju, galopując na miotle. Przebiegła przez salon, podskakując i rżąc. Sara zanosila się od śmiechu i postanowiła też spróbować jazdy na miotle.

Vance podziękował Brooke spojrzeniem. Ułatwiła mu wyjście z trudnej sytuacji.

- Wydaje mi się, że tu jest coś, czego potrzebują wszystkie kowbojki. - Podał jej małą paczuszkę, z której dziewczynka wyjęła srebrne ostrogi.

- Co to jest?

- Ostrogi. Biegnij na górę po swoje kowbojskie buty. Zaraz ci pokażę, jak ich używać.

Sara wpadła na schody i zniknęła na półpiętrze. Vance natychmiast podniósł się, mówiąc:

- Muszę zadzwonić na komendę.

Jedno zdanie wystarczyło, żeby zepsuć nastrój. Brooke uświadomiła sobie, że bandyci wciąż są na wolności, a oni nadal nie wiedzą, kim jest jej mały gość.

- Poproszę Sarę, żeby poszła do kuchni pomóc mi przy śniadaniu.

Vance stanął przy oknie. Brooke zauważyła, że zacisnął pięści.

- Burza słabnie. Pora na mnie - mruknął.

- Tak - odpowiedziała, nie patrząc mu w oczy, żeby nie zauważył, że już za nim tęskni. - Nie do wiary, że pozwolili ci spędzić tu noc. Bardzo się z tego cieszę. To było takie ważne dla Sary. Kiedy miała zły sen, byłeś na miejscu, żeby ją pocieszyć.

- Nie zapominaj, że ty byłeś przy niej pierwsza. - Powstało między nimi dziwne napięcie. - Obiecuj mi, że na cały dzień przeniesiesz się do Julii. Ten psychopata jest wciąż na wolności. Nie chcę, żebyś była tu sama z Sarą, dopóki go nie złapiemy.

- To znaczy, że zaczynasz prawdziwy pościg? - krzyknęła ze strachem zapominając, że nie powinna patrzeć mu w oczy.



- Na tym polega moja praca.

- Tak. Wiem.

Ale myślała tylko o jednym. W ciągu dwunastu godzin ten mężczyzna stał się dla niej tak ważny, iż gotowa jest umrzeć na samą myśl o tym, że grozi mu niebezpieczeństwo.

- Już nałożyłam buty! - radosny okrzyk Sary uratował sytuację.

Mała zbiegła ze schodów w pizamie, kowbojskich butach i kapeluszu. Wyglądała tak zabawnie, że Brooke uniosła ją do góry i uściśnęła gorąco. W tym czasie Vance przymocował jej ostrogi do butów.

- A teraz możesz znowu pojeździć na koniku - postawił dziewczynkę na podłodze.

Mała zrobiła krok i ostrogi zadźwięczały jak dzwonki. Podskoczyła zachwycona i chwyciła miotłę. Zanosząc się śmiechem, biegała po pokoju podjudzana przez Brooke i Vance'a.

- Dość tego dobrego - powiedziała w końcu Brooke. - Odprowadź konia do stajni. Musimy przygotować śniadanie. Nauczę cię robić naleśniki.

Vance natychmiast zniknął i w tej samej chwili Brooke poczuła dotkliwą pustkę w sercu. Musiała zdusić w sobie to uczucie i ze zdwojoną energią zabrała się za śniadanie. Stojąc na krześle, Sara patrzyła, jak robi się naleśniki. Na patelni smażył się boczek, a w ekspresie perkotała kawa. Zanim pojawił się Vance, stół był nakryty.

Brooke wystarczył rzut oka. Wiedziała, że musi duchowo przygotować się na jego wyjazd. Nie może oka-

zywać smutku przy dziecku, które i tak przeszło już swoje. Ale okazało się, że Vance też pamięta, jak należy traktować Sarę.

- Saro? Czy pamiętasz Julię i Kyle'a, którzy odwiedzili nas wczoraj wieczorem? - zapytał, przenosząc ją z krzesłem do stołu i zdejmując jej kapelusz.

Mała kiwnęła głową, z apetytem wgrzając się w chrupiący boczek.

- Zapraszamy nas zaraz po śniadaniu. Będziemy robić orły na śniegu.

Vance pomyślał o wszystkim. Im więcej ludzi będzie wokół, tym lepiej dziewczynka zniesie jego wyjazd. Nie ma lepszej zabawy niż igraszki na śniegu. Po wczorajszej śnieżycy dzień zapowiadał się pogodnie.

- A có to są te orły na śniegu?

- Kładziemy się na świeżym śniegu i machamy rękami i nogami, o tak. A kiedy wstajemy, na śniegu zostaje odbity ptak. Wielki jak orzeł.

- No, to chodźmy! - Sara jednym haustem wypła całe kakao.

- Zaraz, zaraz! Przecież jesteś w piżamie. Biegnij na górę, ubierz się i nie zapomnij wziąć rękawiczek i kurtki.

- Dobra! Ale zaczekajcie na mnie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Boże! - mruknął Vance do siebie, kiedy Sara z brzękiem ostróg wypadła z kuchni.

Brooke myślała tylko o jednym. Za chwilę Vance zniknie z jej życia i zacznie pościg za bezwzględnym mordercą. Zapomniała o obowiązkach gospodyni i nie protestowała, kiedy zebrał naczynia i zaniósł je do zlewu.

- Nie wiadomo, czy Sara jest córką tamtej zamordowanej kobiety. Nie wiadomo nawet, czy Charlie jest jednym ze skazańców, których szukam. To może być zupełnie inny bandyta. Nieważne. Nie spocznę, dopóki go nie złapię. Musi zapłacić za krzywdy, które wyrządził temu dziecku.

- To łotr - wysyczała Brooke.

- Julia i Kyle obiecali, że pomogą ci zająć się Sarą, dopóki nie skontaktuje się z tobą policja federalna i ktoś z opieki społecznej. Podejrzewam, że stanie się to po świętach. Pewnie od razu zabiorą dziecko.

- Z wyrazu jego twarzy wynikało, że także się tym martwi.

Brooke przygryzła wargi.

- Jej rodzina, nieważne jaka jest, na pewno się ucieszy z jej powrotu.

- Wszystko dzięki tobie.

- Nie przesadzaj. Każdy na moim miejscu tak by się

zachował. - Pokręciła głową zakłopotana jego spojrzeniem.

- Nie. Nie każdy - powtórzył to, co powiedział wczoraj.

Widać było, że wie, co mówi. Musiał mieć nie najlepsze doświadczenia w swojej zawodowej karierze.

- Sara powinna dziękować Bogu, że to ty pojawiłaś się na jej drodze. Potrzebowała czegoś więcej niż tylko dachu nad głową. Instynktownie wiedziałaś, co jej dać. Jestem pełen uznania dla pani, panno Longley - dodał i zasalutował.

- Prawdę mówiąc, ohoje zasłużyliśmy na komplementy. Znasz się na psychologii dziecięcej jak mało kto.

- Ja tylko wpadłem do twojego domu i zjadłem wszystko, co było do jedzenia. Tyle moich zasług. A tak na marginesie, robisz lepsze konfitury z jagód niż moja mama.

- Nawet jeśli to nie jest prawda, i tak miło mi to słyszeć.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, a pod nią ugięły się kolana. Chciała mu powiedzieć, że powinien robić to częściej, bo staje się wtedy najprzystojniejszym mężczyzną na świecie, ale się nie odezwała. Stali tak wpatrzeni w siebie i milczeli. Brooke bała się, że jeszcze chwila, a rzuci się mu na szyję.

- Brooke... ja... - odezwał się w końcu Vance stłumionym głosem, ale dokładnie w tej chwili zadzwoniły ostrogi i w kuchni zjawiła się Sara ubrana do wyjścia z misiem w ramionach.

Brooke uklękła przed nią, żeby ukryć swoje zakłopotanie.

- Zdejmę ci ostrogi. Z nimi trudno będzie ci robić orła na śniegu. Nałożysz je, kiedy wrócimy. Dobrze?
  - Dobrze. Czy mogę zabrać Jimmy'ego?
  - Oczywiście.
  - Czy on też może robić orła?
  - Nie bardzo. Jest zrobiony z materiału. Zniszczy się, kiedy przemoknie.
  - Szkoda.
  - Chodź ze mną, mała kowbojko. - Vance nasadził kapelusz na czubek kaptura Sary i wziął ją na rękę.
  - Zanim Brooke się przebierze, odgarniemy śnieg z podjazdu, bo inaczej stąd nie wyjedziemy. Będziesz siedzieć w samochodzie i patrzeć, czy dobrze pracuję.
  - Kluczyki są tam. - Brooke wskazała stół. Vance patrzył na nią zmrużonymi oczami. Nie miała pojęcia, o czym on teraz myśli. Prawdopodobnie bardzo się spieszy. Nie należy mu przeszkadzać. Ubrała się najszybciej, jak potrafiła, chociaż pamiętała o tym, żeby ładnie wyglądać. Wybrała wełniane oliwkowe spodnie, jedwabną bluzkę i zielony sweter w odpowiednim odcieniu. Szybko włożyła botki, chwyciła kurtkę i zapinając ją po drodze, przebiegła przez dom, gasząc światła i zamykając drzwi.
- Kiedy stanęła na progu, musiała zmrużyć oczy, bo jaskrawe słońce odbijało się od świeżego śniegu. Dzień był piękny. Brooke widziała już wiele pięknych zimowych dni, ten jednak był szczególny. Najwyraźniej widok przystojnego ciemnowłosego mężczyzny, który odrzucał śnieg z jej podjazdu, dobrze wpłynął na jej nastrój.
- Boże, spraw, żeby nie stało się mu nic złego. Niech cały i zdrowy wróci do mnie i do Sary. Nagle zdała sobie sprawę, z tego, co szepcze. Zamknęła oczy, przerażona. Niech wróci do mnie i do Sary? Boże, o czym ja myślę?!

Rozejrzała się dokoła. Policyjny landrower Vance'a stał na ulicy cały w śniegu. Chyba będzie musiał go tu zostawić.

- Pojedziemy do Julii twoim dżipem, dobrze? - odezwał się, jakby czytał w jej myślach. - Wrócę nim po resztę swoich rzeczy i landrowera, a Kyle odwiezie was tu swoim samochodem. Zostawię ci kluczyki na ganku.

Kolejny raz wziął pod uwagę potrzeby Sary. Nie chciał jej wystraszyć widokiem policyjnego samochodu ani bronią.

Kiedy podjechali pod drewniany dom Julii i Kyle'a, okazało się, że młodzi małżonkowie z zapalem lepią wielkiego bałwana. Nie musieli długo namawiać Sary, żeby do nich dołączyła. Dziewczynka poprosiła Kyle'a

o jedno: miał tak posadzić Jimmy'ego na schodach, żeby miś nie zmókł, a jednocześnie dobrze widział całe towarzystwo.

Brooke wzięła worek z prezentami dla przyjaciół

i próbowała wygramolić się z dżipa. Vance zareagował tak, jakby miał oczy z tyłu głowy - natychmiast znalazł się przy niej, wziął ją pod pachy jak małą dziewczynkę i postawił na śniegu.

Dziwnym trafem straciła równowagę i znalazła się w jego objęciach. Poczula się jak pensjonarka.

Boże! Jak dobrze mi w jego ramionach, myślała. Kolejny raz walczyła ze sobą, żeby nie zarzucić mu rąk na szyję i nie pocałować. Całe szczęście, że Vance nie wie, co się z nią dzieje, kiedy jest blisko niego...

- Dobrze się czujesz? - Popatrzył jej w oczy z uwagą.

- Tak, oczywiście! - zaczerwieniła się.- - Straszna ze mnie oferma. Możesz już mnie puścić. Dziękuję. Oboje byli świadomi, że Julia obserwuje ich z wielką uwagą.

- To na pewno spodoba się Julii - szepnął jej Vance do ucha. - Wiesz, jak lubi romanse. Dajmy jej coś, nad czym naprawdę zacznie łamać sobie głowę. Przecież jesteśmy starymi, dobrymi przyjaciółmi. I zanim Brooke zdążyła wyjąkać błaganie, żeby jej nie dotykał, pochylił głowę i pocałował ją z całych sił. Miał zimne wargi, ale jego usta były gorące jak grzane wino. Brooke wiedziała, że ten pocałunek to żart. Przecież robią to, żeby zabawić się kosztem Julii, a jednak wystarczyło jedno jego dotknięcie i zabawa przestała być zabawą.

Przez jej ciało przeleciała błyskawica. Brooke zadrżała z pożądania. Vance musiał to wyczuć, bo wpił się w jej usta. Czowała wzbierającą namiętność. Cały świat wymykał jej się spod kontroli. Gdzieś z daleka dochodził głos wołającej ich Sary. Oczywiście! Mieli publiczność!

Zaskoczona i upokorzona reakcją własnego ciała, wyrwała się z uścisku Vance'a. Była jak odurzona i ku swojemu ogromnemu wstydowni, musiała złapać go za ramię, żeby ustać w miejscu. Spoglądając to w niebo, to w błękit jego oczu, zastanawiała się, czy naprawdę widziała w nich ogień, czy to tylko słońce w nich się odbijało.

- Chodźcie już - ciągnęła ich za rękaw Sara. - Zróbmy wreszcie te orły. Tam, obok bałwana. Brooke, proszę.

- Już idę, kochanie - krzyknęła i z workiem prezentów w objęciach ruszyła przez śnieg. Trudno jej było się pozbierać. Wiedziała jedno: nigdy więcej nie może pozwolić, żeby ten człowiek jej dotknął i pocałował ją. Chyba że chce tęsknić za nim przez resztę życia. Zresztą już teraz coś jej mówiło, że będzie za nim tęsknić przez resztę życia.

Z ulgą spostrzegła, że Julia i Kyle, którzy nie mogli nie zauważyć, co się stało, zachowują się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Na pewno Julia nie wytrzyma i zasypie ją pytaniami, ale na szczęście nie tu i nie teraz. Teraz Brooke nie musiała niczego jej wyjaśniać.

Trawnik za domem pokryty był nietkniętym, połyskującym śniegiem. Ponaglany przez Sarę Kyle położył się na ziemi i zrobił pierwszego orła. Julia z chichotem poszła w jego ślady. Kiedy wstali, Sara zapiszczała z radości i podskoczyła do Brooke i Vance'a.

- Ty położysz się tutaj, a ty - tam - poważnym tonem wskazała miejsca na łączce. I nie czekając, aż to zrobią, rzuciła się na śnieg dokładnie pośrodku. - Ja będę tu. - Machała rękami i nogami tak szybko i z takim zawzięciem jakby to była misja jej życia. Vance posłał Brooke rozbawione spojrzenie i zabrał się do robienia swojego orła.

- Stop! - zakomenderowała dziewczynka po chwili i skoczyła na równe nogi, żeby podziwiać ich dzieło. - Zobaczcie wszyscy! - krzyczała uradowana. - Tu jest tatuś, tu mamusia, a tu ja!

Brooke poczuła ukłucie w sercu. Sara wyraziła swoje nieziszczalne marzenia, a ona nie mogła jej pomóc. Po-



myślała o strasznej przeszłości tego dziecka i o zagrożeniu, na które w najbliższej przyszłości narazi się Vance. Bała się o nich. Podczas ostatnich piętnastu godzin oboje stali się najważniejszymi ludźmi w jej życiu. Gdyby coś złego im się stało, nie zniosłaby takiej straty.

Na szczęście Kyle znalazł wyjście z sytuacji. Porwał Sarę na rękę i zawołał:

- Wiesz co? Czekaliśmy, aż przyjedziesz, żeby sprawdzić, co Święty Mikołaj zostawił nam pod choinką. Jest też coś dla ciebie.

- Naprawdę? - zapytała Sara, a jej czarne oczy zabłyśły radośnie. - Chodźcie! - odwróciła się do Brooke i Vance'a. - Tu też Mikołaj przyniósł prezenty.

Vance natychmiast skorzystał z okazji. Pocałował ją głośno w policzek, mówiąc:

- Bardzo chciałbym być z wami, ale czas nagli. Muszę jeszcze doręczyć komuś bardzo specjalny prezent.

Brooke zrozumiała aluzję i zadrżała ze strachu. Sara skrzywiła się, rozczarowana.

- Kiedy wrócisz? - zapytała.

Sama chciałabym znać odpowiedź na to pytanie, pomyślała Brooke, wpatrując się w śnieg pod nogami.

- Nie wiem. Ta osoba nie mieszka tutaj.

- Naprawdę musisz teraz jechać? - nie ustępowała dziewczynka, jakby czytała w myślach Brooke.

- Niestety, tak. Wrócę, jak tylko będę mógł.

- Jestem tego pewien - mruknął Kyle i posadziwszy sobie Sarę na barana, skierował się w kierunku domu.

Julia posłała Brooke pełne współczucia spojrzenie, pocałowała Vance'a w policzek i pobiegła za Kyle'em, któ-

ry szybko otworzył drzwi i wpuścił Sarę do środka. Starał się odwrócić uwagę dziewczynki, która cały czas próbowała wydobyć od Vance'a obietnicę, że niezwłocznie do niej wróci.

Sara była dzieckiem i mogła zadawać pytania. Brooke nie miała do tego prawa. Stojąc po kolana w śniegu, w bezpiecznej odległości od Vance'a, marzyła, żeby rzucić się mu w ramiona.

On z kolei obrzucił uważnym spojrzeniem jej twarz i całą sylwetkę, jakby chciał ją zapamiętać na zawsze. Jakby i dla niego ostatnie piętnaście godzin było czasem niezwykłym. Pożegnanie z Vance'em stawało się dla niej najtrudniejszym zadaniem w życiu.

- Uważaj na siebie - szepnęła z nadzieją, że Vance nie słyszy bólu w jej głosie.

- Obiecuję! - Rysy mu stężały. - Znajdę tego drania, choćbym miał szukać nie wiadomo jak długo.

Sara będzie bezpieczna. - Odchrząknął i dodał po chwili: - Wesółych świąt, panno Longley. Było mi miło panią poznać.

Skłonił głowę i odszedł. Patrzyła, jak wsiada do samochodu i odjeżdża. Wiedziała jedno: była beznadziejnie, bezgranicznie zakochana w tym człowieku.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Dzień dobry. Czy mogę rozmawiać z Brooke Longley - rozległ się w słuchawce nieznajomy głos. -  
Mówi Gwen Shertleff z opieki społecznej w Great Falls.

Brooke przymknęła oczy. Chociaż to głupie, gdzieś w głębi serca miała nadzieję, że to Vance. Lecz on ścigał bandytę. Mogą minąć całe tygodnie, zanim go znajdzie.

Teraz czekała ją bardzo trudna rozmowa. Zrezygnowana, opadła na krzesło, sprawdzając, gdzie jest Sara. Na szczęście dziewczynka, zajęta w salonie zabawą małymi elfami, które dostała w prezencie od Julii i Kyle'a, nie zwracała uwagi na telefon.

- Dzień dobry. Mówi Brooke Longley. Komendant McClain uprzedzał, że pani zadzwoni, ale nie spodziewałam się telefonu w świąteczny wieczór.

- Niestety, właśnie podczas Bożego Narodzenia wiele dzieci staje się ofiarami domowej przemocy. Dlatego dyżurujemy całą dobę. Zostałam przydzielona do sprawy dziewczynki, którą nazywa pani Sarą. Mam przewieźć ją do Missisipi.

Brooke westchnęła cicho.

- Czy to znaczy, że ustalono jej tożsamość i znaleziono rodzinę?

- Widocznie tak.

To była dobra wiadomość, ale Brooke poczuła ukłucie smutku.

- W Jackson zajmie się nią tamtejsza opieka społeczna. Do zakończenia procedury prawnej dziewczynka zostanie pod opieką tymczasowych opiekunów. Jak rozumiem, mała jest teraz u pani?

Brooke przełknęła ślinę.

- Tak.

- Czy stan jej zdrowia pozwala na podróż?

- Sara jest zdrowa.

- To dobrze. Na szczęście śnieżycy ustała. Dobra pogoda ma trwać następne czterdzieści osiem godzin. Przylecę jutro do West Yellowstone rządowym helikopterem, żeby zabrać ją na lotnisko w Salt Lake. Tam przesiądziemy się na samolot.

Mój Boże! Tak prędko? Brooke poczuła przygniatający ciężar na sercu.

- Czy mogę prosić o przyprowadzenie dziewczynki na lądowisko helikopterów o dziewiątej rano?

- Ta... tak... ale Sara wiele przeszła. Nie wiem, czy zaufa pani na tyle, żeby pojechać z panią dokądkolwiek.

- Rozumiem. Takie sytuacje zawsze są trudne. Ale w tym wypadku, chodzi o kidnaping. Według prawa stanowego, odnalezione dziecko musi być natychmiast odtransportowane do miejsca zamieszkania.

Oczywiście, im szybciej znajdzie się wśród ludzi, których kocha, i im szybciej zajmie się nią psycholog, tym szybciej przystosuje się do normalnego życia i wróci do równowagi emocjonalnej. Brooke była tego świadoma.

- To prawda - zgodziła się, przetykając łyzy.

W głębi duszy czuła, że żadna instytucja nie zapewni Sarze takiej czułości i zrozumienia, jakie dawał jej Vance. A rodzina? Ciekawe, czy będzie zdolna ofiarować Sarze miłość, jakiej jej potrzeba?

- Chciałam jeszcze w imieniu instytucji, którą reprezentuję, podziękować pani za pomoc i zrozumienie. Z tego, co słyszałam, wynika, że dziewczynka mogłaby nie przeżyć.

- To cud, że ją znalazłam. - Brooke czuła dwa strumienie łez spływające po policzkach.

- W Boże Narodzenie zdarzają się cuda - odpowiedziała urzędniczka z uśmiechem. - Miło mi, że jutro się zobaczymy. W razie problemów proszę dzwonić do mnie do domu.

Brooke jak we śnie zapisała numer i odłożyła słuchawkę w poczuciu skrajnej rozpacz.

Jutro Sary już tu nie będzie.

Brooke, niezdolna stawić czoła sytuacji, postanowiła nic nie mówić małej aż do jutra rana. Dzisiaj jest Boże Narodzenie. Chciała ten wyjątkowy czas spędzić z Sarą. Być może jest to ostatni wspólny wieczór w ich życiu.

Sprawdziła, czy drzwi są zamknięte, zgasiła światło w holu i weszła do salonu. Sara, w swojej piżamie w renifery, leżała na dywanie i bawiła się zabawkami. Na widok Brooke uniosła głowę i uśmiechnęła się promiennie. Choinkowe lampki odbijały się w jej oczach.

- Jeśli zechcesz oderwać się od zabawek, mam dla ciebie pewną propozycję. Przeczytam ci bajkę.

Powinna ci się spodobać.

- O czym jest ta bajka? - Dziewczynka natychmiast poderwała się na równe nogi.

- To niespodzianka.

Brooke rozłożyła kanapę, a kiedy Sara mościła się pod kołdrą, przyniosła wielką książkę z obrazkami i usiadła obok. Mała w milczeniu oglądała ilustrację na okładce, aż w końcu nie wytrzymała.

- Kto to jest? - zapytała. - Dlaczego ma taką kolorową sukienkę?

- To dziewczynka, która zawędrowała do krainy Oz.

- Wygląda jak... - zmarszczyła brwi, usiłując przypomnieć sobie odpowiednie słowo. - Jak nazywa się kucyk Vance'a? Już wiem. Jak patchwork.

- Masz rację, bo to dziewczynka ze szmatek.

- A dlaczego ona ma taką małą głowę? - Sara oparła się wygodnie na piersi Brooke.

- Bo w czarodziejskiej krainie Oz wszystko jest możliwe.

- Aha! - Mała ze zmarszczonymi brwiami zapamiętywała każde usłyszane słowo. - A gdzie jest Oz?

- W miejscu, o którym możemy marzyć, kiedy zasypiamy.

- Oczy tej dziewczynki wyglądają jak guziki przy mojej piżamie.

- Bo musisz wiedzieć, że pewna staruszka uszyła ją ze skrawków materiału i guzików znalezionych w koszyku z przyborami do szycia. A kiedy lalka była gotowa, mąż staruszki ożywił ją za pomocą czarodziejskiego zaklęcia i nauczył tańczyć, skakać i mówić. Czy uważasz, że szmaciana dziewczynka jest ładna?

Sara w skupieniu patrzyła na obrazek.

- Nie - odpowiedziała z dziecięcą szczerością. - Nie jest ładna. Ale jest śmieszna.

- Chyba masz rację, ale ona sama uznała, że jest najpiękniejsza w całym Oz. I wszystkim o tym mówiła.

Zachichotały obie, a Brooke poraziła myśl, że najzwyczajniej w świecie pokochała tę małą. Co więcej - nie przestanie jej kochać, kiedy ona odjedzie.

Szybko otworzyła książkę i zaczęła czytać. Oczarowana Sara przerywała jej co chwila. Musiała wiedzieć, dlaczego kot jest szklany. Pytała, dlaczego kot i szmaciana dziewczynka nie muszą jeść.

Brooke nie pamiętała, żeby ona, słysząc tę historię po raz pierwszy, zadawała tyle pytań. Jedno było pewne - zrozumiała, dlaczego jej mama była szczęśliwa, czytając jej przed snem. Czowała się teraz podobnie.

W końcu Sara zasnęła. Brooke ucałowała ją i otuliła kołdrą. Potem przeczytała bajkę do końca.

Chciała pobyć jeszcze chwilę w czarodziejskim świecie, żeby nie myśleć o tym, co czeka ją jutro rano. Kraina Oz chroniła również przed koszmarnymi snami. Widziała w nich Vance'a, na którego czai się groźny zabójca i...

Nie wiedziała, kiedy zasnęła. Nagle tuż nad uchem usłyszała niecierpliwy głosik:

- Brooke? Czy dzisiaj też możemy zjeść naleśniki na śniadanie?

Uniosła głowę i spojrzała na zegarek. Było dziesięć po siódmej. Sara, całkowicie rozbudzona, musiała czekać dłuższą chwilę, zanim zdecydowała się ją obudzić.

- Oczywiście, że tak, kochanie. Biegnij na górę i ubierz się, a ja tymczasem przygotuję ciasto. Ktoś w tym domu jest chyba głodny jak wilk.

Sara z radosnym okrzykiem wyskoczyła z łóżka i pobiegła na górę.

Korzystając z chwili samotności, Brooke poszła do kuchni, żeby zatelefonować do Julii. Chciała z jej pomocą ustalić, jak powiadomić Sarę o odjeździe. Julia mogła mieć wiadomości od Vance'a.

Wprawdzie ustaliły niewiele, ale Brooke poczuła się raźniej, wiedząc, że przyjaciółka rozumie jej ból i nie zazdrości zadania, które ją czeka. Niestety, nie było żadnych wieści z okręgowej komendy policji.

Skończyły rozmawiać, kiedy dziewczynka wpadła do kuchni i rzuciła się na naleśniki.

- Czy możemy zrobić orły na śniegu u nas w ogrodzie? - zapytała z pełną buzią.
- Mam lepszy pomysł - Brooke zmusiła się do uśmiechu. - Co powiesz na lot helikopterem?
- Co to jest helikopter?
- Rodzaj samolotu.
- Czy to znaczy, że polecę po niebie?
- Tak. Całą drogę do Missisipi.
- Missi... co?

Brooke nie widziała, czy płakać, czy się śmiać.

- To miejsce, w którym mieszkałaś, zanim ci dwaj mężczyźni zabrali cię ze sobą. Żeby tam dojechać, trzeba przesiąść się z helikoptera do prawdziwego samolotu. A w Missisipi czeka twoja rodzina...

Boże, proszę cię, żeby ci ludzie byli dobrzy. I żeby



chcieli ją pokochać, tak jak ja ją pokochałam, pomyślała z rozpaczą.

- Ale Charlie mówił, że ja nie mam mamy.

- Są jeszcze inni. Pamiętasz wczorajszą bajkę? Ojo miał wujka, którego bardzo kochał.

- Czy ja też mam wujka?

- Być może. A może masz babcię i dziadka, i mnóstwo kuzynów. Pewna miła pani zabierze cię do nich. Za chwilę spotkamy się z nią na lotnisku. Najpierw musimy zapakować wszystkie twoje ubrania i prezenty do walizki.

- Czy Jimmy zmieści się do walizki?

Brooke była zaskoczona pytaniem. Nie mogła uwierzyć, że Sara tak łatwo przystała na wyjazd.

- Chyba nie. Możesz trzymać go na kolanach. Pójdę po walizkę, a ty zbierz wszystkie swoje rzeczy, dobrze?

- Czy mogę wziąć elfy od Julii?

- Naturalnie.

- A książkę o szmacianej dziewczynce?

- Tak. I nie zapomnij o kowbojskim kapeluszu i ostrogach. Musisz też zabrać pończochę ze słodyczami.

Sara kiwnęła głową i zanim wybiegła z kuchni, mocno uściśnęła Brooke. Nie zauważyła jej nieszczęśliwej miny. W momencie kiedy zabierano jej Sarę, Brooke zrozumiała, czym naprawdę jest matczyna miłość. Kiedy pół godziny później dojeżdżała do lotniska, ból stał się nie do zniesienia. Pogoda w drugi dzień świąt była piękna. Gwen Shertleff miała rację, planując na dzisiaj lot do Missisipi. Ale Brooke marzyła, żeby śnieżycy sprzed dwóch dni nigdy się nie skończyła. Niechby trwała jak najdłużej. Wtedy

nikt nie mógłby wyjechać z West Yellowstone. Ani Sara, ani Vance.

Podjeżdżając do lotniska, usłyszała charakterystyczny dźwięk, z jakim pracują śmigła helikoptera. Miała wrażenie, że w jej głowie rozdzwoniła się syrena alarmowa. Chciała zawrócić i uciec daleko na północ, gdzie nikt by ich nie znalazł. Z wielkim trudem zmusiła się, żeby podjechać pod główny hangar.

- Zobacz! - pisnęła podekscytowana Sara. - Tam stoi helikopter.

- Na pewno spodoba ci się lot. Ale teraz zostań w samochodzie i nie wychodź, dopóki cię nie zawołam dobrze?

- Dobrze.

Brooke z daleka zobaczyła atrakcyjną rudowłosą kobietę w średnim wieku, która rozmawiała z Lanym jednym z mechaników. Pilot helikoptera siedział za sterami, gotowy do odlotu. Widząc wychodzącą z samochodu Brooke, rudowłosa kobieta zrobiła kilka kroków w jej łderunku.

- Dzień dobry - powiedziała, przekrzykując hałas śmigieł. - Jestem Gwen Shertleff. Dziękuję za punktualny przyjazd.

Wymieniły uścisk dłoni.

- Czy Sara wie, co ją czeka?

- Tak

- Czy bardzo się broniła? Brooke przełknęła ślinę.

- Zupełnie nie.

- Dziękuję pani za ten samarytański uczynek. Mała miała szczęście. - Słowa Gwen Shertleff brzmiały szczerze i przyjaźnie.

Brooke czuła, że zaciska się jej gardło i łzy napływają do oczu. Z dużym wysiłkiem wyjąkała:

- To ja miałam szczęście.

W oczach Gwen błysnęło współczucie.

- Obiecuję dostarczyć ją do domu całą i zdrową.

- Jestem tego pewna. - Brooke otarła łzy wierzchem dłoni.

- Czy chce pani sama wsadzić małą do helikoptera?

- Tak, bardzo proszę. I jeszcze jedno. Sara ma walizkę z prezentami i osobistymi rzeczami.

- Zajmę się także walizką - obiecała urzędniczka i razem podeszły do samochodu.

Brooke przedstawiła Gwen Sarze. Ciągle nie mogła się nadziwić, z jakim spokojem dziewczynka zachowuje się w tej zupełnie nowej dla siebie sytuacji.

Lany wrzucił walizkę na pokład helikoptera i pokazał Sarze, gdzie usiąść. Potem zapiął jej pasy i przesłał całusa. Tymczasem Gwen usiadła obok, dając znak Brooke, żeby oddaliła się jak najszybciej.

Ale zanim Brooke zdążyła wypowiedzieć pierwsze słowo pożegnania, Sara obejrzała się niespokojnie:

- A gdzie jest miejsce dla ciebie i dla Vance'a? - zapytała.

W tym momencie spełniły się najgorsze przewidywania Brooke. Dopiero teraz zrozumiała spokój dziewczynki i poczuła się jak zdrajczyni.

- Nie możemy polecieć z tobą, kochanie. Dlatego jest tutaj Gwen. To ona zawiezie cię do twojej rodziny. Oni już na ciebie czekają i bardzo cię kochają. Pamiętaj, mówiłyśmy o tym.

Buzia Sary skurczyła się z bólu.

- Nie chcę jechać! Brooke, nie pozwól jej mnie zabrać. Chcę zostać z tobą i Vance'em. Nie zostawiaj mnie! Nie zostawiaj mnie, Brooke!

- Proszę już iść - rzuciła Gwen szybko, widząc przerażoną minę Brooke i rozpaczliwe próby Sary, która usiłowała uwolnić się z pasów.

I Brooke odwróciła się plecami do Sary. Z pomocą Larry'ego zeskoczyła na ziemię. Dziewczynka zaczęła krzyczeć. Brooke słyszała jej łkanie nawet przez zamknięte drzwi helikoptera. Przed oczami stanęła jej scena sprzed dwóch dni - nieszczęsne, przemarznięte dziecko walące piąstkami w szybę wystawową sklepu. Chciała umrzeć. Larry odciągnął ją delikatnie na bok i objął z miną pełną współczucia. Helikopter wzniósł się w powietrze.

- Biedna mała - mruknął Lany.

- O Boże! Larry! Co ja najlepszego zrobiłam?!

- Ciii. To boli, ale przecież nie było innego wyjścia.

- Jesteś tego pewien? Bo ja nie.

- Oczywiście, że jestem pewien. Pamiętaj, że dzieci łatwo się przyzwyczajają. Kiedy Sara znajdzie rodzinę, zapomni o tobie. Uratowałaś jej życie. Niech cię to pocieszy.

- Teraz nic mnie nie pocieszy, ale dziękuję, że jesteś dla mnie taki miły.

Powoli podeszła do samochodu i po omacku wsiadła do środka. Kolejna strata! Bała się, że nie zniesie bólu.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Brooke szklanym wzrokiem wpatrywała się w kalendarz. Wskazywał piąty stycznia. Minęły prawie dwa tygodnie, odkąd Vance i Sara zniknęli z jej życia.

Nawet pracująca na policji Julia nie miała meldunków o nich. Brooke bała się, że jeszcze trochę, a nie wytrzyma życia w stanie ciągłej niepewności.

- Brooke? Dlaczego nie idziesz do domu? Sam zamknę sklep. Od Bożego Narodzenia dzień w dzień siedzisz tu do samego zamknięcia.

- Nie przeszkadza mi to.

Przecież nie będzie mówić Dave'owi, że nie może wytrzymać w domu sam na sam ze swymi myślami.

- Idź, Dave. Masz rodzinę, która na ciebie czeka. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował.

Wiedziała dobrze, co miała usłyszeć - że powinna sama założyć rodzinę i do nich wracać. A jednak Dave nie zrezygnował. Stał już gotowy do wyjścia, w kurtce i futrzanej czapce, kiedy nagle odwrócił się od drzwi i spojrzał na nią.

- Wybacz mi, że się wtrącam - zaczął po chwili wahania - ale czy nigdy nie myślałaś o tym, żeby przekazać komuś prowadzenie sklepu? Z dyplomem anglistyki

mogłabyś znaleźć dobrą posadę w każdym większym mieście. Nie mówiąc o tym że w mieście można spotkać wielu ciekawych ludzi.

- Oczywiście, że o tym myślałam.

- To pomyśl jeszcze raz. Tylko tyle chciałem ci powiedzieć.

- Dzięki za troskę, Dave. Dobranoc.

Kiwnął jej głową i wyszedł. Kiedy tylko zniknął za rogiem, wywiesiła na drzwiach kartkę „Zamknięte” i zalała się łzami. Powstrzymywała się od płaczu przez cały dzień. Teraz, kiedy nareszcie była sama, mogła oddać się rozpacz, którą trudno było znieść. Płakała dobrą chwilę. Kiedy poczuła, że jej ulżyło, ubrała się do wyjścia i zamknęła sklep.

Na dworze padał śnieg. Zapowiadano nadejście kolejnego frontu atmosferycznego, który może przynieść burzę śniegową. Czy Vance będzie na nią narażony?

Paskudna pogoda odpowiadała stanowi jej ducha. Czarne myśli przebiegały jej przez głowę przez całą drogę do domu. A kiedy zamknęła już za sobą drzwi pustego domu, poczuła się jak w grobowcu.

Choinka i wszystkie świąteczne dekoracje zniknęły, żeby nie przypominać jej o najcudowniejszym na całym świecie Bożym Narodzeniu.

Dave ma rację. To nie jest życie, pomyślała z goryczą.

Powinna przekazać mu kierowanie sklepem, dom wynająć i wyjechać stąd. Dave mylił się co do jednego. Nauczycielowi niełatwo znaleźć dobrą pracę. Ale z jej doświadczeniem i referencjami szef każdego wielkiego

sklepu przyjmie ją bez wahania. Znała ich wielu - w Salt Lake, Los Angeles czy Las Vegas...  
Znajdzie prace bez kłopotów.

Ale czy odnajdzie się w życiu? Z tym było gorzej.

Chciała spędzić życie z Sarą i z Vance' em, ale ponieważ to wydawało się niemożliwe, należało stworzyć coś od nowa. I tylko ona może to zrobić.

Decydując się na coś, na co nie miała siły ani ochoty, podeszła do telefonu. Miała zamiar złożyć propozycję Dave'owi.

Kiedy wyciągała rękę po słuchawkę, telefon zadzwonił. Serce zabiło jej mocniej. Może Julia miała wieści od Vance'a?

- Halo? - Brooke z trudem łapała oddech.

- Czy to pani Longley?

Natychmiast rozpoznała ten głos. Gwen Shertleff z opieki społecznej.

- Gwen? Jak się czuje Sara? - Zacisnęła powieki i czekała na odpowiedź.

- Dzwoniąc do pani, robię coś absolutnie sprzecznego z przepisami, ale uznałam, że powinna pani wiedzieć, jak się sprawy mają. Wiemy już z całą pewnością, że Sara jest dziewczynką, której matka została zamordowana przez porywaczy. Naprawdę nazywa się Myma Lyman. Decyzją sądu czeka na adopcję.

- Czy to znaczy, że Sara nie ma własnej rodziny, która może ją wychować?

- Jedynym krewnym, o którym nam wiadomo, jest jej wuj, Jimmy, marynarz odbywający w tej chwili służbę za granicą.

- To dlatego nazwała misia Jimmy! Vance i ja zastanawialiśmy się, dlaczego to właśnie imię natychmiast przyszło Sarze do głowy.

- Wiadomo jednak, że ów Jimmy Lyman rzadko widywał się z siostrą. Mimo że wydawał się zadowolony, że jego siostrzenica żyje, w żaden sposób nie zainteresował się jej obecną sytuacją. Jest kawalerem i nie wyraża chęci przygarnięcia Myrny ani teraz, ani w przyszłości. Biorąc to wszystko pod uwagę, sąd opiekuńczy zdecydował przeznaczyć dziecko do adopcji.

Brooke milczała.

- W tej chwili - ciągnęła Gwen - małą umieszczono w rodzime zastępczej. Wiem, że w żaden sposób nie można jej pocieszyć po rozstaniu z panią. Pracownicy opieki społecznej w Jackson również zauważyli silną więź między nią a panią i komendantem McClainem. Dowiedziałam się, że dziewczynka przez sen powtarza wasze imiona.

Brooke była tak przejęta tym, co usłyszała, że mówienie przychodziło jej z trudem.

- Czy mogę do niej pojechać?

- To byłoby dobre rozwiązanie jedynie w sytuacji, gdyby zdecydowała się pani na radykalne rozwiązanie. Czy pani ją kocha?

- Z całego serca - odpowiedziała Brooke drżącym głosem. - Czy możliwe jest wyznaczenie mnie jako zastępczej matki, zanim będę mogła ją zaadoptować?

- Pani i komendant...

- Nie - przerwała Brooke zdecydowanie. - McClain nie jest żonaty i, o ile wiem, nie zamierza się wiązać.



Ale cudownie radził sobie z Sarą podczas jej pobytu u mnie.

Zapadło dłuższe milczenie.

- Rozumiem. Zazwyczaj sędziowie godzą się jedynie na pełną rodzinę, ale przypadek Sary jest szczególny. Wyrządzono jej już zbyt wielką krzywdę. Zaręczę za panią w sądzie. Kiedy helikopter uniósł się w powietrze ani ja, ani pilot nie mieliśmy wątpliwości, że rozdzielamy dziecko z kobietą, którą ono wybrało sobie na matkę.

- Dziękuję, że mi pani o tym powiedziała. Kiedy będę mogła do niej pojechać?

- Kiedy tylko uda się pani załatwić wyjazd, zaaranżuję spotkanie z pracownicą z opieki społecznej w Jackson, odpowiedzialną za Sarę. Ona pani pomoże na miejscu.

Tym razem Brooke płakała ze szczęścia.

- Dziękuję, Gwen - nie mogła pohamować emocji.

- Dziękuję z całego serca.

- Gdy spotykam się z przypadkami takimi jak ten, wydaje mi się, że mam cudowną pracę. Sara ma wielkie szczęście. - Gwen chrząknęła, żeby ukryć wzruszenie.

- Proszę teraz zanotować wszystkie niezbędne szczegóły.

- Co to jest chili? - Sara stała na krzeselku obok zlewu i przyglądała się wszystkiemu, co robi Brooke.

- Coś pysznego. Zobacz, zdejmuję teraz skórkę z pomidorów i zaraz dodam je do mięsa i fasoli.

- Też chciałabym coś robić.

- W porządku. Przynieś mi kilka cebul i zieloną paprykę z dolnej szuflady lodówki.

Pracowały w idealnej harmonii, aż chili w wielkim garnku zaczęło lekko bulgotać na ogniu.

- Dlaczego Vance nie przychodzi?

Sara zadała to pytanie co najmniej dwudziesty raz od chwili, kiedy tydzień temu Brooke przywiozła ją z Missisipi. Nie przyjmowała do wiadomości, że jej opiekunka nie zna odpowiedzi. Od Bożego Narodzenia Vance nie dawał znaku życia.

- Vance pracuje.

- Co robi?

- Jest zastępcą komendanta policji federalnej.

- I co robi?

- Pomaga ludziom którzy mają kłopoty.

- A czy my mamy kłopoty?

- Nie, maleńka - uśmiechnęła się Brooke promiennie. - Nie mamy.

- To szkoda - westchnęła Sara z dziecięcą naiwnością. - Gdybyśmy miały kłopoty, Vance musiałby przyjść, żeby nam pomóc.

Jej żelazna logika była nie do podważenia.

- Jeśli ty będziesz moją mamusią, to dlaczego Vance nie będzie moim tatą?

- Niestety, Vance ma taką pracę, że wciąż jest w drodze i nie mieszka w jednym miejscu.

- Ale jeśli będzie mieć swoją małą córeczkę, zostanie chyba w domu, żeby się z nią bawić, prawda?

- Jestem pewna, że gdybyś to ty była jego córeczką, spędzałby z tobą mnóstwo czasu.

- W takim razie, kiedy przyjedzie, zapytam go, czy mogę być jego córeczką - oznajmiła Sara stanowczo.

W oczach Brooke błysnęła panika.

- Kochanie, ty przecież będziesz moją córeczką.

- Ale ja chcę być i twoja, i jego.

- Żeby tak było, Vance musiałby wziąć ze mną ślub.

- Co to znaczy wziąć ślub? Brooke westchnęła, zrezygnowana.

- Kiedy kobieta i mężczyzna bardzo się kochają, postanawiają wziąć ślub i mieszkać razem w jednym domu przez całe życie. A mówiłam ci już, że Vance mieszka w różnych miejscach. .

- A czy my nie mogłybyśmy mieszkać z nim w różnych miejscach?

Saro, kochanie, nie łam mi serca! błagała Brooke w duchu.

- Mogłybyśmy - mruknęła w odpowiedzi - ale ja i Vance nie braliśmy ślubu.

- W takim razie poproszę go, żeby wziął ślub.

- Dziewczynki tego nie robią.

- Dlaczego nie?

- Bo to mężczyzna prosi kobietę, żeby została jego żoną. I musi ją bardzo kochać.

- Czy Vance bardzo cię kocha?

Rozmowa robiła się coraz trudniejsza dla Brooke.

- Nie sędzę.

- A ja widziałam jak cię całował. Brooke przygryzła wargi.

- A ja widziałam, jak całował ciebie. Robił tak, bo dobrze się z nami czuje - mruknęła.

- I widziałam jak ty całowałaś jego - nie ustępowała Sara. - Czy bardzo kochasz Vance'a?

89

Gdybyś tylko wiedziała, maleńka, jak bardzo! pomyślała, czując nagłe ukłucie w sercu.

- Uważam, że jest wspaniałym mężczyzną - wybrnęła sprytnie. - A teraz, kiedy nie pozostało nam nic innego jak czekanie, aż chili będzie gotowe, pójdę wziąć prysznic. Ty zostań tutaj i ucz się pisać swoje imię.

- Czy mogę coś narysować?

- Oczywiście.

Pocałowała Sarę w czubek głowy i wybiegła z kuchni. Rozmowa na temat Vance'a trwała stanowczo za długo. Na sam dźwięk jego imienia wzmagał się w niej strach i ból. I Brooke z płonącymi policzkami stanęła pod prysznicem. Prawdopodobnie mam gorączkę, pomyślała.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Halo?

Kiedy Vance usłyszał w słuchawce znajomy dziecienny głos, o mało nie upuścił aparatu na podłogę samochodu.

- Sara? - wyjąkał.

- Czy to Vance?

Mimo szoku, jakim była dla niego wiadomość, że Sara wciąż mieszka u Brooke, parsknął śmiechem. Mała zachowywała się tak, jakby czekała na jego telefon.

- Tak, to ja. Jak się czuje moja mała kowbojka? \* - Dobrze. Kiedy przyjedziesz do domu?

Do domu?

Potrząsnął głową z niedowierzaniem. Ale przecież się nie przesłyszał.

- Kiedy tylko zechcesz.

- Czy możesz przyjechać zaraz?

- Myślisz, że Brooke byłaby z tego zadowolona?

- Tak. Zanim poszła wziąć prysznic, powiedziała, że jesteś wspaniałym mężczyzną.

Serce zabiło mu mocniej.

- Naprawdę? - zapytał, ale Sara uznała temat za zamknięty.

- Vance! Wiesz co? Niedługo zostanę córką Brooke.

- Naprawdę? - Wiedział, że się powtarza, ale był zbyt zaskoczony, żeby się tym przejmować.

- Tak. Przyjechała do Missipi, żeby mnie zabrać, a teraz mnie zaadoptuje. Ja nazywam się Myrna Lyman, ale Brooke chce, żebym się nazywała Sara Longley.

A więc tak zakończyła się bożonarodzeniowa historia. Gardło ścisnęło się mu ze wzruszenia.

- Uważam, że jesteś wielką szczęściarą. Każda dziewczynka chciałaby mieć taką mamę.

- A ty? Nie chcesz mieć córeczki?

Chyba robię się na starość sentymentalny, pomyślał, czując, że oczy zachodzą mu łzami. Skąd ta mała wie, że chciałbym mieć córkę.

- Oczywiście, że tak - odchrząknął.

- A chciałbyś mnie?

O, Boże! Pewnie, że chciałbym!

- Byłoby cudownie.

- Świetnie. Musisz tylko przyjść i poprosić Brooke, żeby wzięła z tobą ślub, bo ona mówi, że dziewczynki nie mogą o to prosić chłopaków.

Nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać.

- Co jeszcze mówiła Brooke?

- Powiedziała, że nie możesz wziąć ślubu, bo jeździsz po całym stanie, żeby pomagać ludziom. Ale ja myślę, że my mogłybyśmy jeździć z tobą. Prawda?

- Chciałabyś tego?

- Nie. Wolałabym, żebyś mieszkał z nami przez cały czas.

Myśli kłębiły się mu w głowie. Ja też, kochanie, wolałbym mieszkać z wami przez cały czas. Teraz, kiedy

łotr, który zmarnował dwa lata twojego życia, siedzi za kratkami, z rozkoszą wróć na ranczo.

- Być może udałoby się to zorganizować.

- Co to znaczy zorganizować?

- To znaczy, że postaram się zrobić wszystko, żeby zamieszkać z wami.

- Czy to znaczy, że weźmiemy ślub?

- Jeśli Brooke się zgodzi.

- Poczekaj. Zaraz ją zapytam.

- Saro! - krzyknął. - Nie rób tego. Muszę sam... Niestety, było już za późno. Usłyszał tylko tupot nóżek oddalającej się dziewczynki. Sara pobiegła na poszukiwanie Brooke.

Czekając na jej powrót, jeździł na ślepo po uliczkach West Yellowstone. Pomimo zimna czuł, że na czole zbierają się mu kropelki potu. Co robi, jeśli za chwilę jego marzenia legną w gruzach? Po ostatnim pocałunku nie ^ przestawał myśleć o Brooke. Miał przed oczami jej obraz przez cały czas pościgu.

Ujęcie Charliego nie przyszło mu łatwo. Śnieg i wielkie przestrzenie parku Yellowstone dodatkowo utrudniały zadanie. W końcu wytropił jego kryjówkę w grotcie przy Mamucim Wodospadzie. Było gorąco - strzelanina trwała dobrą chwilę. W końcu bandycie zabrakło amunicji. Vance złapał go, ale wcześniej postrzelił go w nogę.

Całe szczęście, że to koniec. Całe szczęście, że Brooke i Sara są bezpieczne, a on zobaczy je lada chwila.

- Vance? - wrzasnęła Sara w słuchawkę. Serce waliło mu jak młotem.

- Jestem, małeńka. I co powiedziała Brooke?

- Ona uważa, że tylko żartujesz, bo jesteś zdeklarowanym kawalerem. Co to znaczy zdeklarowany?
  - Nieważne - uśmiechnął się szeroko. - Byłem zdeklarowanym kawalerem ale już nim nie jestem.
  - Bo co?
  - Bo zakochałem się w Brooke.
  - Aha! Ale to dobrze, wiesz? Bo Brooke mówi, że mężczyzna musi bardzo kochać dziewczynę, żeby poprosić ją o ślub.
  - Brooke ma rację.
  - No to kiedy weźmiemy ten ślub? Vance ryknął głośnym śmiechem
  - To zależy od Brooke.
  - Poczekaj, sprawdzę to.
- Sara rzuciła słuchawkę na podłogę z takim hukiem, że o mało nie pękły mu bębunki. Za chwilę była z powrotem.
- Ona woli, żebyśmy najpierw zostali przyjaciółmi.
  - Już jesteśmy przyjaciółmi - mruknął - ale może ma rację. Co jest na obiad?
  - Chili.
  - Dołóż jeszcze jedno nakrycie, maleńka. Będę u was za minutę. Jestem strasznie głodny.
- Dopiero o jedenastej Sara zasnęła na kanapie w salonie. Vance przeniósł ją na górę i ułożył w łóżku Brooke.
- Brooke była speszona i zdenerwowana. Przez cały wieczór Sara uparcie powracała do tematu ślubu, tematu, który w normalnych warunkach w ogóle nie powinien



być poruszany. Wszystko dlatego, że fatalnym zbiegiem okoliczności właśnie Sara odebrała telefon Vance'a.

Całe szczęście, że wreszcie zasnęła. Teraz będą mogli nareszcie porozmawiać poważnie.

Kiedy zeszli na doi, Brooke nie mogła się skoncentrować. Vance był u niej w domu! Żył! Nic złego mu się nie stało. Stał przed nią w całej okazałości, przystojny i pełen wigoru.

- Vance... - zaczęła niepewnie. - Nie wiem co powiedzieć ani jak zacząć. Nie myśl, proszę, że użyłam Sary w jakichś niecnym zamiarach. Nie spiskuję, żeby zaciągnąć cię do ołtarza.

- Sara tak bardzo chce mieć rodzinę - powiedziała z wysiłkiem po chwili milczenia - że pragnie rzeczy niemożliwych. I nie sądz, że tamtą rozmowę telefoniczną potraktowałam serio...

Błysk w jego oczach zgasł w jednej chwili. % - Czy mam rozumieć, że pomysł poślubienia zgorzkniałego starego kawalera, który nigdzie na świecie nie zagrzał miejsca, wydaje ci się odstręczający?

- Oczywiście, że nie! - zareagowała żywiołowo. Zaraz zdała sobie sprawę, jak to zabrzmiało.

Zaczerwieniła się i, zawstydzona, odwróciła głowę.

- Ale nikt nie decyduje się na małżeństwo - dodała - tylko po to, żeby spełnić marzenia dziecka. A już na pewno nie podejmuje się tak poważnej decyzji, znając kogoś jeden dzień.

- Podejrzewam, że w normalnych okolicznościach zgodziłbym się ze wszystkim, co powiedziałaś. Ale podczas tamtych kilkunastu godzin spędzonych razem prze-

żyłem iluminację. Miałem nadzieję, że i ty doznałaś czegoś podobnego. Wszystko przez ten jeden pocałunek u Julii... Dlatego tu jestem. Przez cały czas miałem go w pamięci. Chcę poczuć to, co czułem wtedy, Brooke. Pozwól mi... - Głos miał teraz chrapliwy i matowy.

- My... myślę, że...

- Nie myśl - szepnął i przyciągnął ją do siebie. - Mnie wystarczy część miłości, którą dajesz Sarze. Potrzebuję jej tak samo jak ona.

He razy wyobrażała sobie taką sytuację? Vance, który błaga, żeby go pokochała. Tylko nigdy nie podejrzewała, że stanie się tak naprawdę.

Być może później, kiedy wróci jej rozsądek, będzie zażenowana własną reakcją. Teraz z całą siłą uczucia przyłgnęła do mężczyzny, którego potrzebowała tak bardzo, że czas i przestrzeń przestały się liczyć.

Dotyk jego ust i dłoni wywołał burzę w jej ciele. Pożądanie ogarniało ją całą. Brooke sądziła, że dzięki Markowi poznała miłość, a jednak dopiero Vance pokazał jej świat, w którym łączą się i dusze, i ciała. Nawet nie zauważyła, jak to się stało, ale leżała teraz w jego ramionach na dywanie przed kominkiem. Na dworze wiał zimowy wiatr i za każdym silniejszym podmuchem Vance przyciskał ją mocno do siebie i całował uspokajająco.

Brooke z trudem oderwała się od niego tylko po to, żeby udowodnić, że panuje nad sobą. Przesunęła dłonią po jego twarzy. Pod palcami wyczuła szorstki zarost.

- To dobrze, że jesteś tu, a nie gdzieś na dworze w pościgu za tym potworem który tylko udawał człowieka.

- Amen - mruknął Vance.

- Opowiedz mi wszystko. Muszę wiedzieć, co się zdarzyło.

Westchnął z rezygnacją, przyciągnął ją do siebie i rozpoczął opowieść.

- Dopiero kiedy oddałem go skutego w ręce policji, przyszła wiadomość z centrali - zakończył. - W stodole w Santaquin znaleziono ciało drugiego bandyty oraz martwego psa. Oboje dostali po dwie kulki.

Poczuł, jak Brooke sztywnieje w jego objęciach.

- Mam nadzieję - odezwała się - że nie uznasz mnie za potwora, kiedy powiem, iż cieszy mnie, że ten drugi nie żyje. Teraz można powiedzieć Sarze, że nic jej nie grozi.

- Ja sam czuję ulgę. Nie mam wątpliwości, że ekspertyza balistyczna potwierdzi, że pociski pochodziły z broni Charliego. Kiedy usłyszałem, że pies był biały w brązowe łaty, zrozumiałem, dlaczego Sara pomyliła krowy z psem.

- Myślę, że mała potrzebuje pomocy psychologa.

- Kiedyś wydawało mi się, że człowiek ze wszystkim może poradzić sobie sam. Dzisiaj wiem, że bywają sytuacje, w których pomoc z zewnątrz jest niezbędna.

Zdziwiona Brooke podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Czy chcesz o tym porozmawiać? - szepnęła. Powoli pokiwał głową.

- Byłem wtedy policjantem w czynnej służbie. Pewnego razu dowództwo ogłosiło alarm. Mieliśmy zgłosić się natychmiast. Nawet ci, którzy skończyli służbę. Nie

mogłem dodzwonić się do swojego partnera. Uznałem, że wyłączył telefon, żeby się wyspać, i pojechałem do niego do domu. Przyjaźniliśmy się, więc wszedłem kuchennymi drzwiami, bez dzwonienia. Okazało się, że jest w łóżku z kobietą. To była moja narzeczona.

Brooke drgnęła. To było o wiele gorsze od zdrady Marka.

- Kilku moich przyjaciół przeżyło podobne historie. Poradzili mi, żeby udać się do specjalisty. Mieli rację. Kiedy człowiek utraci zaufanie do świata, zaczyna irracjonalnie reagować na otoczenie. Trudno jest samemu powrócić do normy. ...

- Wiem - odpowiedziała krótko.

- Julia opowiedziała mi o tym, co przeszłaś. Ale minęło już sporo czasu. Dzisiaj wiem, że pokochałem płytką i bezmyślną kobietę. Ale dopiero wtedy, kiedy poznałem ciebie, zdałem sobie sprawę, jak bardzo płytka była Sylwia.

Oczy lśniły mu jak dwa węgle.

- Brooke! Jesteś piękną kobietą, ale dopiero sposób, w jaki traktujesz Sarę, otworzył mi oczy na to, jaka jesteś naprawdę. Nie zastanawiałaś się ani chwili, nie myślałaś o sobie, kiedy trzeba było jej pomóc. Tego szukałem. Wewnętrznego piękna, które zostaje w człowieku na zawsze. Kiedy Sara odebrała telefon i oznajmiła, że chcesz ją zaadoptować, wiedziałem, że przyjdę poprosić, żebyś została moją żoną.

Brooke usłyszała, jak łamie się mu głos i nie mogła go nie pocałować.

- Wiesz, od kiedy chcę, żebyś został moim mężem?

Od momentu, w którym zapytałeś, w jaki sposób masz zdobyć zaufanie Sary. Wiedziałam już, że jesteś wrażliwy i umiesz współczuć. Wewnętrzny głos podpowiedział mi, że spotkałam mężczyznę, którego szukałam przez całe życie i, przepraszam, że mówię ci to tak bez ogródek, zakochałam się w tobie, Vance.

- Kocham cię, Brooke - odpowiedział po dłuższej chwili.

Przedtem całował ją długo i czule.

- Wszystko, co mówiłem Sarze, jest prawdą. Zakochałem się w tobie sam nie wiem kiedy. Kochałem cię już, kiedy zdecydowałem się zostać tu na noc.

- A mówiłeś, że to dla naszego bezpieczeństwa.

- Ale to była tylko część prawdy. Czy sądzisz, że mam zwyczaj spędzać noc u wszystkich, z którymi stykam się na gruncie zawodowym? A w dodatku u samotnych kobiet? Natychmiast zostałbym zdegradowany.

- Ja już tamtej nocy marzyłam żebyś nie wyjeżdżał.

- Teraz znamy całą prawdę - mruknął i pocałował ją znowu.

- Chcę być z tobą na zawsze - powiedział, kiedy zabrakło mu tchu. - Pragnę, żebyś za mnie wyszła. Ale najpierw musisz poznać moją rodzinę. Sara też powinna spotkać wszystkich kuzynów, których odziedziczy wraz ze mną. Podejmuję decyzję, która zmieni całe moje życie. Sara chce, żebym był z nią przez cały czas.

- Ja też tego chcę - wykrzyknęła Brooke cicho.

- Co byś powiedziała na przeprowadzkę do Great Falls? Tam jest nasze rodzinne ranczo. I kucyk, który czeka na Sarę.

- Sara oszaleje ze szczęścia. - Głos Brooke lekko zadrżał.

Vance natychmiast zauważył zmianę jej nastroju.

- Wiem, że trudno jest rzucić dom i rodzinny interes

- popatrzył na nią poważnie.

- Kiedy zostałam bez ciebie i Sary - zaczęła powoli

- byłam załamana. I wtedy podjęłam decyzję. Postanowiłam powierzyć Dave'owi kierowanie sklepem, wyjechać stąd i rozpocząć nowe życie.

Vance wziął głęboki oddech.

- Czy uwzględniłaś mnie w tym scenariuszu?

- Co to jest scenariusz? - rozległ się nagle dziecinny głosik.

W jednej chwili oboje odwrócili głowy.

- Sara! - zawołali równocześnie.

- Chodź do nas, moja mała kowbojko. - Vance wyciągnął do niej ramiona.

Dziewczynka w jednej chwili była przy nim.

- Czy to znaczy, że bierzemy ślub? - zapytała, tuląc się do piersi Vance'a.

- Tak, kochanie. - Brooke uśmiechnęła się szeroko.

- Bierzemy ślub.

- Wspaniale!

W tej samej chwili Sara zerwała się na równe nogi i pognęła do kuchni.

- Dokąd biegniesz? - zawołał za nią Vance.

- Muszę powiedzieć Julii. Obiecałam, że zadzwonię natychmiast, kiedy się oficjalnie wyęcycie.

O mało nie umarli ze śmiechu. Tak się zaczęło ich wspólne życie.